POGADANKI MORALNE

WARSZAWA. 1908.

J. LISOWSKA, MARSZAŁKOWSKA 101.

POGADANKI MORALNE.

IZA MOSZCZEŃSKA.

Pogadanki moralne.

WARSZAWA
J. LISOWSKA.
Marszałkowska № 101.
1908.

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.

Szkoła powinna nietylko kształcić, ale i wychowywać, nietylko bogacić i ćwiczyć umysł, lecz rozwijać i urabiać charakter—oto prawda, którą obecnie uznał i ocenił nieomal cały nasz świat nauczycielski. Nietylko rozumowanie, ale i wielorakie bolesne doświadczenia doprowadziły już do wniosku, że nawet najgruntowniej przyswojone nauki nie wystarczą człowiekowi jako uposażenie na drogę życia, jeśli w parze z niemi nie idą cenne zalety charakteru. Mniej może znaną jest prawda drugostronna, że nawet najpiękniejsze właściwości charakteru często idą na marne, że nie czynią człowieka pożytecznym, lecz raczej szkodliwym, jeśli się łączą z ciemnotą i tępym umysłem. Dobre chęci brukują piekło, poświęcenie staje się przedmiotem nieuczciwego wyzysku, odwaga i wytrwałość służą złym ludziom za bierne narzędzie do osiągania ich niecnych zamiarów, słowem, szlachetny kruszec dzielnego charakteru w całości idzie na wyrób zabójczych broni, lub łańcuchów niewoli. Ztąd wynika, że dążeniem współczesnego wychowania win-

no być jaknajściślejsze połączenie wychowania umysłowego z moralnem, spożytkowanie rozwoju umysłowego dla rozszerzenia, pogłębienia i ugruntowania zasad etycznych, które w dzieci wpoić pragniemy.

Płytki pogląd na naturę człowieka i na jego zadania życiowe, widząc, że jego życie moralne i umysłowe są to dwie odrębne i różne dziedziny, że człowiek mądry nie zawsze jest dobrym, a wyższe wykształcenie nie stanowi o wyższości moralnej — skłonny był widzieć sprzeczność między jednym i drugim i wprost w kształceniu umysłu upatrywać niebezpieczeństwa moralne. Walka między rozumem a sercem wydawała się najpowszedniejszem zjawiskiem życiowem, tak często o niej mówiono i pisano, a w języku potocznym nieraz wcale nie żartem utożsamiano wyrazy „głupi“ i „dobry“. Nic niedorzeczniejszego nad takie mniemanie.

Nie może być walki między rozumem i uczuciem, tak jak nie może być walki między parowozem a linią kolejową, po której on pędzi.

Rozum kreśli drogi postępowania, uczucie do czynów popycha, pierwszemu zawdzięczamy świadomość dobrego, drugiemu — dobrą wolę.

Wychowanie moralne w równej mierze uwzględniać powinno jedno i drugie. Rozbudzając szlachetne uczucia i dobre skłonności, stwarzać w naturze dziecka żywe siły moralne, wpajając uczciwe zasady, zdrowe wyobrażenia o złem i dobrem, nadawać moralny kierunek.

Pierwsze zadanie nie da się osiągnąć przy pomocy jakichkolwiek lekcyi. Jedyne środki, wiodące do celu, to dobry przykład i przyzwyczajenie, atmosfera moralna, otaczająca dziecko w domu i w szkole, przeniknioną duchem miłości, sprawiedliwości i prawdy. Tylko uczciwe życie może być dla niego dobrą szkołą życia i tylko szlachetny człowiek może szlachetny charakter w wychowywanej istocie rozwinąć.

Nauka moralności, objęta programem szkolnym, nie zastąpi powyżej przytoczonych środków i nawet najlepiej obmyślony i najsumienniej wykonywany jej program nie zabezpiecza wcale wartości moralnej wychowanych w danej szkole jednostek. Można wiedzieć, co dobre, a źle czynić, tak jak można zdać doskonały egzamin z katechizmu, a nie mieć ani odrobiny religijnej wiary.

Jedynem, ale też niezmiernie ważnem zadaniem nauki moralności jest jasne określenie wartosci moralnych i rozjaśnienie spraw i stosunków życiowych. Dzięki jemu, ślepy poryw lub bezmyślne przyzwyczajenie do postępowania w pewnym pożądanym kierunku zamienia się w świadomy i rozważny wybór między jednym czynem a drugim, w umiejętność oceniania największego dobra, lub najmniejszego zła i sterowania swem życiem w kierunku samodzielnie wytkniętym.

Dotychczas nauka moralności zupełnie tego zadania nie osiągała. Właściwie powiedzieć mo-

żna, że nauki moralności w tem rozumieniu nie znaliśmy wcale.

Zwykłe moralizowanie z okazyi różnych dziecinnych wykroczeń brało za punkt wyjścia przeważnie nie jakiś ogólny kodeks moralny, lecz domowe lub szkolne przepisy specyalnie do dzieci stosowane, a tracące wszelkie znaczenie po wyjściu z młodzieńczego wieku. To co wolno, a czego nie wolno, nie było jednoznacznem z tem, co słuszne i niesłuszne, szlachetne i nieszlachetne, lecz raczej z tem, co dogodne, praktyczne lub na razie konieczne, a ztąd zmieniało się stosownie do miejsca i okoliczności. Jeżeli kodeks wychowawczy potępiał i istotne przewinienie moralne, to w powodzi wykroczeń formalnych niknęły one i zacierały się do tego stopnia, iż żadną miarą nie można z niego było wysnuć jakiejkolwiek całości zasad etycznych. Po za tym zbiorem nakazów i zakazów, z jakiemi zaznajamiają się dzieci w codziennej praktyce szkolnego życia, źródłem wyobrażeń moralnych mogły się stać dla nich nauki katechizmowe i tu jednak skutki stale zawodziły oczekiwania. Przyczyny tego były wielorakie. Nie będę mówiła o wszystkich, poruszę tylko te, które są oczywiste nawet dla zwolenników jaknajszerszego uwzględniania nauki religii w programach szkolnych i które najżywiej odczuwają ci właśnie, którzy z praktyką szkolną mają do czynienia, t. j. katecheci.

Nauczanie religii obejmuje różne działy: wykład dogmatów, objaśnienie obrządków i przepisów religijnych, tradycye Kościoła, czyli Stary i Nowy Testament, a wreszcie naukę moralności. Ztąd na tę ostatnią, mimo jej wielkiej i niezaprzeczonej wagi, przypada zaledwie niewielka cząstka czasu, przeznaczonego na lekcye religii w szkołach.

Metoda, przyjęta w tym wykładzie, od dawna nie podlegała rewizyi, ani ulepszeniom. Podczas gdy pedagogia współczesna zreformowała w duchu swych wymagań system nauczania wszystkich przedmiotów, wprowadzając zastosowanie nowych środków, nauczanie religii pozostało w tej formie, w jakiej się przekazywało z pokolenia na pokolenie. I nic dziwnego: świeccy pedagogowie nie mogli zabierać głosu, duchowni katecheci rzadko bywają zawodowymi pedagogami.

Najważniejszy rys reform metodycznych polega w nauczaniu wszystkich przedmiotów na usunięciu pamięciowego wyuczania się reguł i teoryi, a na przyswajaniu ich w zastosowaniach praktycznych. Jak w nauce języków jest dążność do zupełnego, nieomal usunięcia nauczania gramatyki, a zastąpienia jej ćwiczeniami gramatycznemi, jak w arytmetyce objaśnianie zadań uznano za najwłaściwszą drogę wdrażania w umysł teoryi arytmetyki, tak i we wszelkich innych przedmiotach przemaga zasada: od faktu do teoryi, od szczegółu do ogółu, od konkretnego do oderwanego. W myśl tej zdrowej, ustalonej pedagogicznej zasady i nauka moralności postępować powinna, a więc od oceny moralnej czynów ludzkich do zasad ogólnych.

Przykazania, które są właśnie tem dla moralności, czem teorya w arytmetyce, a reguła gramatyczna w językach, nie mogą—jak to dotąd jest przyjęte—stanowić punktu wyjścia dla nauki moralności. Czyni to wykład nudnym, suchym, nieprzystępnym i jałowym.

Materyał faktyczny, zawarty w podręcznikach do wykładów religii, również nie wystarcza dla objaśniania na przykładach współczesnym dzieciom zasad współcześnie obowiązującej moralności. Zarówno Stary, jak i Nowy Testament mieszczą w sobie niektóre piękne wzory cnót, zajmujące przykłady przewinień, które i świecki autor pogadanek moralnych bardzo chętnie w zbiorkach swych pomieści. Na ogół biorąc jednak, pochodzą one z tak odległych czasów, ze stosunków tak odmiennych od tych, w jakich żyjemy, nieraz też odpowiadają tak zupełnie odmiennym pojęciom obowiązku, tak trudne, a czasem niemożliwe są do naśladowania, że wpływ ich na charaktery obecnej młodzieży, rozwijającej się w naszym kraju, musi być bardzo mały. Stawiając w jednym rzędzie wykroczenia przeciw przepisom religijnym i przeciw zasadom moralnym, obowiązującym każdego człowieka, bez względu na jego wyznanie, wprowadza się też w umysły pewien zamęt, zupełnie niepożądany dla rozwoju świadomości moralnej.

Społeczeństwa zachodnie, bez względu na większy lub mniejszy wpływ religii na ich życie, dawno już uznały tę potrzebę i zmierzają do wytworzenia systemu nauki moralności jednej dla wszystkich dzieci, bez różnicy wyznania. We francuskiej, niemieckiej i angielskiej literaturze pedagogicznej istnieje już sporo podręczników do nauki moralności i zbiorów pogadanek etycznych, dostarczających wychowawcom wskazówek, jak pojęcia moralne swych uczniów kształcić i rozszerzać mają. Polskie piśmiennictwo nie posiada jeszcze dziełek tej treści, a choć niewątpliwie tłómaczenia najlepszych zagranicznych prac stopniowo ukazywać się będą i ułatwią zadanie naszym nauczycielom, nieomal każda z nich w zastosowaniu wymagać będzie uzupełnień i przeróbek, odpowiednich dla naszych dzieci, przystosowanych do ich warunków. Jakkolwiek bowiem zasadnicza treść nauk moralnych dla ludzi jednego poziomu kultury musi być taż sama, to jednak forma i środki nauczania muszą się zmieniać odpowiednio do środowiska, w jakiem dzieci żyją. Nauka moralności jest nauką życia; mówiąc o obowiązkach, trzeba mówić i o stosunkach życiowych, a te są różne w różnych krajach i różnych okresach historycznych.

Bezpłodność dotychczasowych nauk moralnych może w pewnej mierze i zląd właśnie wynikała, że udzielano ich w zupełnem oderwaniu od chwili obecnej i współczesnych stosunków. Stanowiły one rodzaj abstrakcyi, unoszącej się ponad codzienną rzeczywistością, pewien zbiór suchych, niezmiennych formuł rozumowych, pozbawionych ścisłego związku z bogactwem i zmiennością stosunków ludz-

kich. Pojęcia, w nich określane, tak się miały do istotnych zjawisk życiowych, jak figury geometryczne do kształtów, napotykanych w przyrodzie. Weźmy jeden tylko przykład: Dotychczasowy wykład moralności określa wszystkie stosunki, łączące człowieka z człowiekiem jednym jedynym wyrazem „bliźni“, „miłość bliźniego“. W rzeczywistości dziecko od najwcześniejszych lat swego życia w miejsce tej abstrakcyi poznaje najróżnorodniejsze węzły międzyludzkie, mające dla niego o wiele wymowniejsze znaczenie: rodzice, dzieci, rodzeństwo, koledzy, przyjaciele, sąsiedzi, rówieśnicy, przełożeni, panowie i słudzy, rządzący i rządzeni, rodacy i cudzoziemcy—składają się w jego umyśle na stopniowe wytworzenie szerokiego pojęcia ludzkości, obejmującego wszystkię „bliźnie“ mu istoty. Zaczynać naukę życia od tego abstrakcyjnego pojęcia jest takim samym błędem pedagogicznym, jak zaczynać naukę rachunków od algebry. Punktem wyjścia nauk moralnych powinny być fakty życiowe, treścią właściwe oświetlanie tych faktów.

Nasuwa się tutaj sama przez się uwaga, czy nie należałoby wybierać w pierwszym rzędzie faktów z życia dzieci, może nawet tych samych dzieci, dla których wykład jest przeznaczony. Doświadczenie pedagogiczne budzi jednak nieufność do takiej metody.

Wiemy, jak niechętnie bywają przyjmowane wszystkie, bezpośrednio do wychowańców wystosowane morały, wiemy, jak słaby osiągają skutek.

Czy podajemy je w formie powiastek o grzecznych i niegrzecznych dzieciach, czy też kazań moralnych z okazyi jakiegoś dziecięcego przewinienia — jedynem uczuciem, jakie budzą, jest niesmak i nuda. Nieodzownym warunkiem pomyślnych rezultatów każdej nauki, a zatem i nauki moralności jest zainteresowanie. Banalność tych budujących wzorów, jakiemi karmimy naszych małych czytelników, wynika może po prostu z tego, że na życie dziecka składają się bardzo nieliczne i jednostajne stosunki i obowiązki, a jego cnoty i wady mają, objektywnie rzecz biorąc, bardzo błahe znaczenie. Dopiero w świetle późniejszych zadań życiowych, jako zapowiedź przyszłych wad i zalet, nabierają one wagi właściwej i dopiero w tem zestawieniu budzić mogą zainteresowanie. Pamiętajmy o tem, że ci, których wychowujemy, są jeszcze dziećmi, ale pamiętajmy także, że mamy ich wychować na ludzi, a zatem rozwijać w nich nie dziecięcą „grzeczność“, lecz ludzką dobroć, szlachetność, rzetelność, odwagę. Gdy uczeń nasz zrozumie, że nasze nauki moralne zwracamy do rozwijającego się w nim człowieka, z głębszem przejęciem i żywszem zainteresowaniem słuchać ich będzie, niż wtedy, gdy widzi w nich tylko sposób opanowania potulnego dziecka przez władzę wychowawczą. On sam odkryje analogię i łączność między swemi dziecięcemi obowiązkami, a poważnemi zadaniami życia, czekającemi je w przyszłości. Tylko wpływ ideałów dalej sięgających w przyszłość podniecać

będzie jego energię do pracy nad samym sobą, co jest najbliższym, jedynym bezpośrednim celem wychowania moralnego. Nie można absolutnie nic uczynić dla udoskonalenia charakteru człowieka, póki w nim samym chęci doskonalenia się nie rozbudzimy.

Nie osiągną nigdy tego celu suche, nudne i zgryźliwe morały. Pogadanka moralna nie powinna być kazaniem, ani napomnieniem, ani na pamięć wyuczaną lekcyą, lecz istotną rozmową z dziećmi, zajmującem opowiadaniem i ożywioną dyskussyą. Ich własne zapytania, uwagi i wnioski stanowią jej część najważniejszą. Chodzi przecież o to, ażeby uzdolnić uczniów do samodzielnego sądu w kwestyach etycznych, a nie o to, żeby oni na pamięć powtarzali nasze słowa. O zadawaniu i wydawaniu lekcyi mowy być nie może. Jest całkiem obojętną rzeczą, czy fakty, przez nas przytaczane, zostaną spamiętane, czy nie, jeśli tylko wrażenie przez nie wywołane, okaże się silnem i trwałem, a ostateczne wnioski głęboko wyryją się w duszy.

Wprawdzie nauka moralna, jeśli ma być nauką życia, nie może przemilczać jego stron czarnych, nie może przedstawiać go jednostronnie i fałszywie, gdyż taki optymizm czyni wychowańca naszego bezbronnym wobec złych wpływów, bezsilnym wobec przeciwności życia. O ile jednak święte oburzenie i surowy sąd jest najpospolitszą, bo najłatwiejszą formą wypowiadania się uczuć moralnych, jest zarazem ich najlichszym i najmniej pożądanym wyrazem. Zdolność potępiania i piętnowania często nie łączy się wcale z subtelną wrażliwością sumienia, a ostry zmysł krytyczny względem drugich zwykle w zastosowaniu do samego siebie tępieje. Rozmiłowanie się w moralnem pięknie czynów szlachetnych jest znacznie pewniejszą dźwignią charakteru, niż obrzydzenie dla nizkich, nieuczciwych postępków. Dla tego właśnie w pogadankach etycznych więcej jeszcze zmierzać należy do rozbudzania w uczniach skłonności do podziwu, uwielbienia, szacunku, niż wstrętu i oburzenia, pod któremi często kryje się faryzeizm.

Dobór faktów ilustrujących naukę moralności, uwzględniać powinien i wymagania życia rzeczywistego i psychologiczne czynniki. Nie można wykluczyć ani faktów historycznych, ani obrazów, czerpanych z literatury pięknej, ani nawet fantastycznych bajek i alegoryi, rozmaitość i barwność jest bowiem bardzo ważnym warunkiem zainteresowania, a działając na wyobraźnię najsilniej poruszyć możemy uczucie i wolę, o co zawsze chodzić winno w pierwszym rzędzie. Gdybyśmy jednak poprzestawali wyłącznie na materyale czerpanym ze świata, tak odległego od otaczającej nas rzeczywistości, jak zamierzchłe dzieje lub kraina fikcyi i baśni, to wychowańcy przywykliby uważać i sam morał jako coś fikcyjnego lub dawno przebrzmiałego, coś, co z rzeczywistością codziennego życia niewiele ma związku. Pomiędzy wzniosłemi wzorami etycznemi, a istniejącemi stosunkami życiowe-

mi trzeba koniecznie nawiązać łączniki takie, aby uczniowie zrozumieli, że choć zło i dobro moralne w różnych czasach różne przybiera formy, obowiązek zwalczania zła, a pełnienia dobra ciąży na nas zawsze i zawsze jest wykonalny.

Niniejszy zbiór pogadanek nie ma pretensyi służyć za wzór wcielenia w życie powyższych zasad, jest on raczej próbą urzeczywistnienia ich, próbą, dokonaną w tem przekonaniu, że praktyka uzupełni i udoskonali z czasem i metodę samą i jej zastosowanie.

Nauczyciele i nauczycielki znajdą w niej trochę gotowego materyału, zestawionego z tą myślą, by służył do możliwie wyczerpującego oświetlenia kilku naczelnych zasad moralnych w sposób zrozumiały, przystępny i żywotny. Ten pierwszy zbiorek objął tylko tę część nauki moralnej, która dotyczy obowiązków człowieka względem samego siebie, doskonalenia woli, wyrobienia charakteru. Stosunki ludzi z ludźmi we wszelkich postaciach, począwszy od związków rodzinnych do ogólnych stosunków międzyludzkich, a zatem dobroć, sprawiedliwość, miłość bliźniego, mają stanowić treść następnego zbiorku, jakkolwiek i tu z natury rzeczy musiały być pośrednio omawiane, gdyż obowiązki społeczne stanowią zasadniczy czynnik moralny, a dobro ogólne lub krzywda ludzka — miernik wartości postępków człowieka.

Podział dokonany został według treści i tematu, nie zaś według lekcyi. Każda pogadanka może i powinna być rozłożona na cały szereg godzin, uzupełniona rozmową wywołaną samodzielnemi uwagami dzieci i materyałem, który się nauczycielowi w życiu lub literaturze nastręczać będzie. Zbiór podanych faktów ma jedynie ułatwić nauczycielowi oświetlenie tematu, stanowić punkt wyjścia do omawiania danej kwestyi.

Nadmieniam, że byłoby rzeczą bardzo pożądaną urozmaicać wykład pokazywaniem obrazków i ilustracyi, deklamowaniem wierszy treści odpowiedniej do obranego tematu, lub odczytywaniem utworów, pozostających z nim w związku.

Wszystkie te udoskonalenia niewątpliwie praktyka sama nie omieszka nastręczyć i rozwinąć.

Wszystkie zaś braki niniejszej książeczki niech usprawiedliwi okoliczność, że jest ona pierwszym krokiem na nowej drodze, a wiadomo, że pierwszy krok zawsze trudnym bywa.

Iza Moszczeńska.

---

słońce dla wszystkich promieniami swemi ziemię wyzłaca, jeżeli nad wszystkimi rozciąga się przeczysty błękit nieba, to czemużby dźwięk pieśni nie miał być dla uciechy wszystkich stworzony?

Sądząc ludzi zbyt pospiesznie, po uczynkach, których pobudek nie znamy, możemy się nieraz dopuścić niesprawiedliwości i wyrządzić im krzywdę, taką, jaką wyrządziło biednemu chłopcu to bawiące się towarzystwo, gdy go o chęć kradzieży posądziło.

Pewien człowiek szedł drogą, obsadzoną drzewami wiśniowemi. Były one właśnie okryte dojrzałym owocem, a gałęzie, obciążone soczystemi wiśniami, schylały się tak nizko, że przechodzień mógł był z łatwością sięgnąć i rwać, ileby się spodobało. Ponieważ zaś był zmęczony drogą i spragniony, znęcił go ten widok i już sięgał ręką do do gałęzi, gdy nagle cofnął się i przeszedł na środek drogi. Może sądzicie, że zawahał się na myśl, iż wiśnie są własnością człowieka, który je posadził, pielęgnuje i utrzymuje siebie i rodzinę ze sprzedaży wyhodowanego owocu? Bynajmniej. Po prostu zbliżając się do drzewa, dojrzał psa, który szczerzył na niego zęby i przyczaiwszy się, gotował się do napaści. Niewątpliwie człowiek, który zapanował nad pokusą i uszanował cudzą własność, postąpił dobrze, ale uczynił to wyłącznie z obawy bólu.

Widujemy nieraz na ulicy i w ogrodach publicznych dzieci, które wy zapewne uważacie za

bardzo grzeczne i dobre. Są czyściutko ubrane, umyte, wyczesane starannie, nigdy nie dojrzycie ani plamki, ani dziury na ich ładnych sukienkach. Idą obok siebie zgodnie, nie potrącając się i nie zastępując sobie drogi, nie depczą po trawnikach, nie zrywają kwiatów, nie obłamują gałązek na krzewach, nie gonią się i nie plączą wśród przechodniów, nie rzucają piłką w szyby okien, ani w parasolki pań, nie krzyczą, nie sprzeczają się i broń Boże nie biją między sobą, słowem, zachowują się tak, jak przystało, i nic im zarzucić nie można. Jakie to dobre, łagodne, rozsądne istoty, powiecie pewno, jakie cierpliwe i uważne. Może im nawet potroszę zazdrościcie, wiedząc, jak wam samym trudno przychodzi powstrzymać się od hałasów, krzyków, sprzeczek, jak trudno wam pamiętać przy zabawie o ochranianiu ubrania i obuwia, o czystości rąk i twarzy. Ja nie podzielam waszego podziwu, bo widzę, że krok w krok za temi paniczami i panienkami chodzi bona, która ich z oka nie spuszcza, a nawet słyszę jej nieustające napomnienia: „Co o tobie pomyślą ludzie? Czy to dobrze wychowana dziewczynka tak robi, tak chodzi, tak się wyraża?“ „Daj pokój, będą się wszyscy oglądali, co to za niegrzeczny chłopiec takie hałasy wyprawia“. Więc dzieci sznurują usta, mierzą kroki, hamują swą żywość, nieustannie mając na pamięci, że mija ich mnóstwo ludzi, a każdy na nich patrzy i może o nich źle lub dobrze mówić, zależnie od tego, jak się zachowają. Ja tych dzieci za to nie

ganię; rozumiem, że każdemu jest przykro, gdy go ktoś palcem wytyka lub gdy widzi zdziwione i zgorszone spojrzenia ludzkie, zwrócone na siebie. Dzieci się wstydzą tak samo, jak się wstydzą dorośli, jeśli popełnią coś niewłaściwego wobec ludzi, którzy ich z tego postępku sądzić mogą. Zanim bym jednak razem z wami wyrażała podziw dla tych grzecznych, wzorowych dzieci, chciałabym się przekonać, jak się one zachowują, gdy bona odejdzie, a one same pozostaną bez dozoru i bez licznego otoczenia osób, któreby na nie uwagę zwrócić mogły. Czy we własnem mieszkaniu wobec samej tylko rodziny, domowników i sług są równie grzeczne, łagodne, cierpliwe, uważające? Czy uszanowałyby kląby, krzewy, kwiaty cudzego ogrodu, gdyby ich nikt nie ostrzegał i nie pilnował, gdyby się ani nagany, ani kary nie obawiały? Może tak; obawiam się jednak, że przywykłe do ciągłej kontroli i dozoru, ciągłych przestróg i napomnień, wyrosną z czasem na takich ludzi, których uczciwe postępowanie zależne jest od ilości i jakości świadków. Nietylko bowiem między dziećmi, lecz i wśród dorosłych ludzi wielu jest takich, co czynią dobrze przez chęć zyskania pochwał lub uniknięcia surowego sądu bliźnich, przez obawę wstydu lub kary. Ten sam, który nie schowa do kieszeni znalezionej portmonetki, kiedy na niego patrzą, bez wahania nieraz przywłaszczyłby ją sobie, o ileby tego nikt nie widział. Ten, co nie skłamie w obawie, aby się kłamstwo nie wydało, bez zająknienia mówi nie-

prawdę, gdy jest pewny, że go nikt na tem złapać nie może. Ta sama pani, która zawsze z uprzejmym uśmiechem wita swoich gości, mówi im miłe słówka i oddaje tysiąc drobnych przysług, świadczących o jej dobroci i delikatności, w kuchni względem własnej sługi bywa niecierpliwa, niesprawiedliwa, nie wyrozumiała, a czasem wprost grubiańska.

Czy takich ludzi można naprawdę dobremi nazywać? Czy można na ich dobroć liczyć?

Na szczęście, są jeszcze i inni ludzie i o tych wam zaraz opowiem.

Przy szosie, prowadzącej do miasta, stała kuźnia, a nieco opodal, na skraju lasu, ciągnącego się wzdłuż szosy—domek kowala. Było to w pewnem oddaleniu od sąsiedniej wioski i nieraz znajomi dziwili się kowalowi, że sie nie lęka mieszkać tak daleko od siedzib ludzkich i to w stronach, w których sporo podejrzanych ludzi się włóczyło. Ale kowal śmiał się ze wszystkich tych obaw i mówił: „Złodziei się nie boję, bo jestem biedny, gdybym zaś spotkał biedniejszego od siebie, sam chętniebym się podzielił. Zemsty ludzkiej także się nie obawiam, bo nikogo nie skrzywdziłem i z nikim kłótni nie wszczynam. Wprawdzie i mnie ze strony złych ludzi krzywda spotkać może, i ja nie jestem zabezpieczony od nieszczęść, ale nikt nie jest pewny swego losu, a nie wiem, cobym zyskał, gdybym przedwczesnem przewidywaniem i strachem zatruwał sobie te chwile spokoju, jakich dzisiaj kosztować mogę. I rzeczywiście, nasz kowal był zawsze

wesoły i dobrej myśli, śpiewał przy robocie i każdy podróżny, który jadąc zatrzymywał się przy kuźni, czy to dla podkucia konia, czy dla naprawienia koła u wozu, chętnie się z nim wdawał w pogawędkę, ujęty jego uprzejmością i dobrym humorem.

Razu pewnego, pod wieczór, gdy już zamykał kuźnię i zmierzał do domu, wynurzył się z lasu człowiek o tak dziwnej powierzchowności, że każdy, mniej odważny od naszego kowala, byłby doznał niemałego strachu. Ubranie jego było poszarpane i miało na sobie ślady krwi, ręce i twarz pokaleczone, głowa nie okryta i włosy potargane świadczyły o szybkim, bezładnym biegu przez leśną gęstwinę, bo nawet tu i owdzie na ubraniu i głowie poprzyczepiały się strzępki mchu i igieł sosnowych. Najbardziej uderzającym był jednak jego wyraz twarzy, niespokojne błyski oczu, nerwowe drganie powiek i śmiertelna bladość. Ukryty za drzewem, odezwał się półgłosem do kowala, który go spostrzegł już przedtem, ale nie zatrzymując się, miarowym krokiem zbliżał się ku niemu:

„Czekam na was już od godziny“.

„Taak? ze zdumieniem zapytał kowal. A czemuż nie przyszliście do kuźni?“

„Nie mogłem, stoi tuż przy szosie, a ja się muszę ukrywać. Wasz brat mówił mi o was, że wam zaufać można. (Kowal miał istotnie w mieście brata, pracującego w fabryce). Mówił też, że może udzielicie mi jakiej pomocy. Ja musiałem uciekać. Groziło mi wielkie niebezpieczeństwo!

Ach! jak straszną miałem przeprawę! Strzelano do mnie, nawet trafiono. Ale to nic! rana powierzchowna, szybko się zgoi. Chciałbym się tylko gdzieś schronić, wypocząć, zasnąć! Cały dzień ukrywam się w lesie. Głodny jestem...“ Ostatnie słowa wypowiedział prawie niedosłyszalnym szeptem, jakby go przezwyciężyło osłabienie i znużenie. Kowal zauważył, że się pod mówiącym nogi chwieją i opiera się o pień sosny, nietylko aby go ukryła, lecz by nie upaść. Podszedł więc do nieznajomego, podtrzymał go ramieniem i zwolna w cieniu drzew przemknęli się ku chacie. Do mieszkania go jednak nie wpuścił; lękał się zdradzić tajemnicę przed żoną i dziećmi, aby nie narazić nieszczęsnego zbiega. Dał mu schronienie w ustronnej stodółce na sianie, tam mu zaniósł posiłek; wodą ranę obmył i opatrzył, jak umiał, i nic nikomu nie mówiąc, powrócił do domu.

Nie prędko minęło niebezpieczeństwo, czy rana nie była tak powierzchowną, jak się na razie zdawało, czy też nadmierne zmęczenie i przestrach wyczerpały jego siły, dość, że nieznajomy chorował poważnie i nie mogąc ruszyć w dalszą drogę, korzystał z tajnej opieki kowala. Przed świtem przy jego pomocy wlókł się do swej leśnej kryjówki, po zmierzchu chronił się pod dach stodółki, żywiąc się tem, co mu jego opiekun w tajemnicy przed rodziną z domu przynosił. Tymczasem istotnie zarządzono za nim pościg, rozpytywano wszystkich mieszkańców wioski, trafiono więc i do kuźni.

Ponieważ jednak nikt zbiega nie widział i nic o nim nie mógł powiedzieć, więc sprawa na razie ucichła. Dopiero po pewnym czasie ktoś przypadkowo zaciekawiony tajemniczemi wycieczkami kowala do lasu, może podejrzywając go o kradzież drzewa, podpatrzył go na rozmowie z nieznajomym i od tej pory gruchnęła w wiosce plotka, że kowal wdaje się z podejrzanymi ludźmi, że jest w zmowie ze złodziejami.

Gdy zaś wkrótce potem zdarzyła się istotnie jakaś większa kradzież we wsi, rzucono na niego podejrzenie i wzięto go do więzienia. Nieznajomy, którego nazwiska kowal do ostatniej chwili nie wiedział, zdołał już przedtem wyruszyć w świat i nie pozostało po nim śladu.

Dla całej rodziny kowala jego więzienie było strasznem nieszczęściem. Dochody z kuźni ustały; maleńki skrawek pola, jaki posiadali, nie mógł wyżywić żony i dzieci, a tymczasem wydatki zwiększyły się, bo trzeba było do miasta jeździć, obrońców szukać, staranie o uwolnienie czynić. Gorzej jeszcze, niż bieda, dokuczał jednak wstyd, że ten, taki poczciwy, kochany mąż i ojciec, pod zarzutem kradzieży w więzieniu siedzi. Zapewne byłoby łatwo oczyścić się z podejrzenia i dobre imię odzyskać, gdyby tylko wyznać prawdę, ale czyż mógł kowal zdradzić zaufanie człowieka, który mu zawierzył i w nieszczęściu pod jego opiekę się oddał? Więc milczał i cierpliwie znosił niedolę, uspokajając swych najbliższych, że jego niewinność mu-

si wyjść na jaw, cierpienia przeminą i dawny spokój powróci. Byłoby to jednak mogło trwać długo, gdyby przypadek nie był zdradził istotnych sprawców kradzieży. Dopiero wtedy odzyskał kowal wolność i powrócił do spokojnej pracy.

Powiedźcie mi teraz, co skłoniło go do zaopiekowania się nieszczęśliwym zbiegiem? Czy strach przed karą lub zemstą? Przeciwnie; wiedział on dobrze, że raczej naraża się, ulegając porywom serca; wiedział też, że obawa niebezpieczeństwa byłaby go dostatecznie tłómaczyła wobec człowieka, przywykłego do osamotnienia wśród obcych ludzi, dbających w pierwszym rzędzie o własny spokój. Czy chęć zyskania pochwał lub też wstyd przed opinią ludzką, któraby jego samolubstwo wytykać i piętnować mogła? Ależ on właśnie swój dobry, miłosierny uczynek musiał przed ludźmi jaknajstaranniej ukrywać, bo pochwały mogłyby być dla niego i jego przygodnego przyjaciela równie zgubne, jak nagany. Czy wreszcie interes, nadzieja, że nieznajomy sowicie mu się wypłaci za doznaną usługę? Ależ on wiedział, że mimo swego ubóstwa jest jeszcze magnatem w porównaniu z tym bezdomnym tułaczem, nie mającym dachu nad głową. Nic innego, tylko własne poczucie ludzkości, szlachetne serce, obowiązek braterski człowieka względem człowieka, by niedolę łagodzić, cierpienia koić. Może słysząc opowiadanie strasznych przygód bezimiennego przybysza, wyobrażał sobie, ileby on cierpiał na jego miejscu, jakby mu boleśnie było, gdyby go odtrąciła ręka, do której on z całem zaufaniem swoją, jak do bratniej, wyciągnął. Taki człowiek, jak nasz kowal, po prostu nie mógł inaczej postąpić i choć się sam na nieszczęście naraził, byłby się czuł pewno stokroć nieszczęśliwszym, gdyby był wbrew swej lepszej skłonności odepchnął nieszczęśliwego lub zdradził jego zaufanie. Nie sądy ludzkie, lecz jego własny sąd wewnętrzny, sumienie potępiłoby go; czułby pogardę dla samego siebie, a jestto ciężkie do zniesienia uczucie.

Chyba mi przyznacie, drogie dzieci, że taki człowiek jest naprawdę gruntownie dobrym. Tylko na takich można liczyć, polegać na nich, szanować ich, co pełnią dobro z własnego popędu, w zgodzie z własnem sumieniem, bez względu na interes własny, na ludzkie pochwały i nagany, na ofiary i cierpienia, jakiemi swe dobre uczynki przypłacić mogą.

Może mnie spytacie o nazwisko tego człowieka? Nie powiem wam, bo go nie znam. Dobre czyny, które unikają rozgłosu, są zawsze spełniane przez bezimiennych ludzi, a pamięci ich nie utrwala książka, ani gazeta.

To też pocieszajmy się, że jest ich więcej, niż nam się wydaje, bo tylko przypadkowy zbieg okoliczności daje nam możność poznać i ocenić całą wartość ich postępków, ukrywających się przed powierzchownym wzrokiem ludzkim. Napewno, nieraz spotkacie się w życiu z pracą mozolną, a bez-

interesowną, dla dobra bliźnich podjętą, z cichą ofiarnością i zrzeczeniem się własnych korzyści dla przysporzenia szczęścia drugim, z cierpliwą, szlachetną wyrozumiałością dla cudzych błędów, z odważnem wyznawaniem prawdy, nawet wtedy, gdy ona jest ludziom niedogodna i niemiła, więc ich niechęć wzbudza. Często też słyszeć się wam zdarzy surowe, potępiające sądy ludzi o ludziach. Strzeżcie się wtedy powtarzać je bezmyślnie, lub im ślepo wierzyć. Więcej wam należy unikać tych, którzy mówią źle o drugich, niż tych, o których źle mówią, bo ludzie rzadko mają możność zajrzyć do głębi duszy innego człowieka i ocenić sprawiedliwie wartość jego czynów.

TRZECIA POGADANKA.

Wstrzemięźliwość. — Prostota i zbytek.

Przed wielu wielu laty żył naród bardzo dzielny, choć nieliczny, który pozostawił po sobie trwałe wspomnienie. Zamieszkiwał on nie wielki górzysty i ubogi kraj nad morzem Śródziemnem, zwany Spartą, tak jak i stolica kraju. W Sparcie panowały dziwne prawa i obyczaje, nieznane gdzieindziej, ani wówczas, ani potem. Pierwszy prawodawca tego kraju, to jest ten, który mu prawa swoją władzą narzucił, imieniem Likurg, był tego przekonania, że nie ma nic gorszego dla człowieka

i dla narodu, jak zbytkowne, a nawet wygodne życie, gdyż ono osłabia charakter, odbiera odwagę i energię, prowadzi do niedołęztwa i zepsucia. To też skoro objął władzę w Sparcie, podzielił całą ziemię na równe części i rozdał między jej obywateli tak, ażeby każdy miał skromny byt zabezpieczony, a nikt nie opływał w dostatkach i nie miał pokusy do zbytku. Domy Spartan budowane były z prostych, nieciosanych bierwion drzewa, nie heblowane wewnątrz, a tak samo drzwi i okna były grubej roboty, z desek piłą żniętych. Nikomu nie było wolno jadać w domu, ażeby nikt potajemnie nie objadał się i nie upijał, lecz wszyscy zasiadali przy stołach publicznych, ustawianych na placach, nie więcej niż 15 osób razem, a żywili się zupełnie prostemi potrawami: grubym chlebem, czarną polewką, soczewicą, z małemi dodatkami mięsa lub ryby. -- Zwłaszcza pilnie na to zwracano uwagę, ażeby młodzież wychowywana była hartownie, nawykała do niewygód, do mężnego znoszenia bólu, do skromnego i wstrzemięźliwego życia. Wszyscy sypiali nie w swych domach rodzinnych, lecz w ogólnych sypialniach, dla nich przeznaczonych, na posłaniach z trzciny i sitowia, które sami nad brzegiem rzeki zżynali. Tylko w najchłodniejsze zimowe noce wolno im było, ze względu na ciepło, posypywać te legowiska puchem z ostu. Ćwiczyli się oni zawczasu w rzemiośle rycerskim, tak jak je pojmowano wtedy, gdy nie było jeszcze ani armat, ani wogóle palnej broni, tylko łuki, strzały i dzidy.

A zatem fechtowali się, gonili do mety, strzelali do celu, a siła, zręczność i odwaga były poczytywane za główne zalety. Nie wolno było nikomu gromadzić bogactw. Aby zabezpieczyć uszanowanie tego prawa, Likurg ustanowił żelazną monetę, która miała wielki ciężar, a małą wartość, więc jej ani ukryć nie było można, ani w większych ilościach z miejsca na miejsce przenosić, gdyż nawet nie duża suma pieniędzy, przedstawiająca bardzo skromne mienie, ledwie się mieściła na dwukonnym wozie. Równie surowo, jak zbytek, potępiano i gadatliwość. Spartanie obowiązani byli mówić jaknajmniej, wyrażać swoje myśli w jaknajkrótszych słowach. Pamiętne są do dzisiaj sławne odezwania się Spartan dzielnych w czynie, a skąpych w mowie. Gdy raz drobniutka garstka spartańskich rycerzy obwarowała się w ciasnym górskim wąwozie dla zagrodzenia przejścia licznemu wojsku wrogów, a wódz nieprzyjacielski posłał do nich swych posłów, żądając, by broń złożyli, wódz spartański odpowiedział: „Przyjdź i weź!“ Spartanie byli istotnie bardzo dzielni i nie lękali się śmierci, ale też, jak mówiłam, od wczesnej młodości wymagano od nich, by znosili ból bez szemrania i bez jęku. Mówią o pewnym spartańskim chłopcu, że gdy raz schwytał lisa i ukrywszy go na gołem ciele pod ubraniem zasiadł wraz z innymi do stołu, choć go uwięzione zwierzę do krwi pokąsało, ani miną, ani głosem cierpienia nie zdradził i za to od swych wychowawców otrzymał najwyższe pochwały. Na-

wet matkom nie było wolno dzieci rozpieszczać i kobiety bowiem były równie hartownie chowane, jak mężczyźni. Spartańska matka, wyprawiając syna na wojnę, dawała mu tarczę ze słowami: „Wróć z nią, lub na niej“, to jest albo zwycięzcą, albo umarłym. Polegając na męztwie swych obywateli, król spartański nie chciał stolicy swego kraju murem opasać, mówiąc tym, co na niego o to nalegali: „Murem miastu są waleczni rycerze“.

Te surowe obyczaje, od których nikt zresztą nie był wyłączony, bo i królowie tak samo skromne i wstrzemięźliwe życie pędzić musieli, istotnie zapewniało Spartanom przez długi czas niepodległość kraju i wewnętrzny spokój. Oni zaś sami— jako naród rycerzy—bo nikt z rodowitych Spartan nie zajmował się niczem więcej, jak uprawą roli i rycerskiem rzemiosłem, częste i zwycięzkie prowadzili wojny, a lud z podbitych krajów obracali w niewolników, używając ich do spełniania tych wszystkich prac niezbędnych, jakiemi się sami nie zajmowali. Niewolników tych, zwanych helotami, otaczali wielką pogardą. Zdarzało się, że w pewne dnie dawano helotom pić rozpalające trunki, ażeby się popili do utraty przytomności i służyli młodzieży spartańskiej za ostraszający przykład, do jakiego upodlenia pijaństwo doprowadzić może.

Czy podobają się wam obyczaje Spartan? Tak i nie. Było to naturalnie bardzo źle z ich strony, że trzymali niewolników, że ich traktowali pogardliwie, nie umieli uszanować ani ich nieszczęścia,

ani mozolnej pracy tych ludzi, którzy byli im jednak bardzo pożyteczni. Były jednak wtedy takie czasy, kiedy niewolnictwo jednych, a wolność i panowanie drugich było poczytywane za przyrodzone i boskie prawo, a głoszenie równości wszystkich ludzi — za bezbożność. Takie pojęcia trwały jeszcze wiele setek lat później, nawet wtedy, gdy naród spartański przestał istnieć i tylko w historyi wspomnienie po nim pozostało. W każdym razie dziś jeszcze podziwiać możemy hart i męztwo Spartan i pojmujemy, że nawet niewielki naród może być potężny, jeśli się składa z ludzi tak wytrwałych, wstrzemięźliwych i dzielnych. Sparta była jednym z kraików greckich, gdyż w owe czasy cała Grecya składała się z wielu drobnych państewek, połączonych ze sobą tylko wspólnością języka, religii, pochodzenia, a wreszcie i pewnemi wspólnemi obyczajami.

Przyszła chwila, gdy jeden z tych krajów zaczął nad innemi zyskiwać przewagę i panowanie rozciągać głównie dla tego, że jego monarchowie przez swą zdolność rządzenia krajem i prowadzenia zwycięzkich wojen potęgę jego podnieśli. Najsławniejszym z nich był Aleksander, młody, lecz bardzo podziwiany dla swych zalet i odwagi, a później wielkim nazwany, dzięki pamiętnym czynom swego panowania. Zdarzyło się raz, że przybył do greckiego miasta Koryntu i, jak wszędzie, gdzie sie pojawił, odbierał hołdy od wszystkich, nawet najznakomitszych i najwyżej postawionych mieszkańców. Mieszkał w owym czasie w Koryncie mędrzec Dyogenes, słynący daleko po za granicami rodzinnego miasta nietylko swą uczonością, ale i osobliwym sposobem życia.

Dyogenes trzymał się tej zasady, że człowiek powinien swoje potrzeby ograniczać do ostateczności, bo tylko wtedy jest zupełnym panem siebie i całkowicie niezależnym od drugich. Żył zgodnie z tą zasadą. Ubierał się w stary, wyszarzany płaszcz, pijał tylko czystą wodę ze źródła, za pokarm służyła mu garstka fig, owocu tak pospolitego w jego ojczyźnie, jak u nas gruszki, chodził boso, a mieszkał w pustej beczce. Jedni go uważali za wielkiego filozofa, inni za dziwaka, ale wszyscy radzi go byli zobaczyć, bo mówiono o nim wiele. Zapragnął go też poznać Aleksander i zdziwił się, że między miejscowemi znakomitościami, które mu się przedstawiały, niema Dyogenesa. Życzenie młodego króla naturalnie dla jego wielbicieli i pochlebców było rozkazem. To też skwapliwie zaofiarowali się oni zaprowadzić go do sławnego filozofa.

Aleksander zastał Dyogenesa siedzącego nad morzem i grzejącego się w słońcu, nieopodal beczki, która mu służyła za mieszkanie. Nawet nie ruszył się z miejsca za przybyciem monarchy. Król nie obraził się, gdyż znał już ze słyszenia dziwactwa Dyogenesa; przywykły jednak, że ktokolwiek się do niego zbliżał, przedstawiał mu jakąś prośbę, a ktokolwiek go poznał, liczył na jakąś łaskę, za-

pytał: „Dyogenesie, co chcesz, abym uczynił dla ciebie?“

„Odejdź na bok i nie zasłaniaj mi słońca“, odparł Dyogenes. Dworzanie zdumieni byli zuchwalstwem Dyogenesa, lecz Aleksander z podziwem zawołał podobno:

„Gdybym nie był Aleksandrem, chciałbym być Dyogenesem!“ Widocznie odczuł w tej chwili coś, co stawiało mędrca na równi z nim, albo może i wyżej: jego niezależność, którą zawdzięczał swemu surowemu życiu i skromnym potrzebom. Łaski monarchy nie miały dla niego znaczenia; nic od niego nie potrzebując, nie potrzebował mu pochlebiać, ani bić pokłonów.

W dalszem swem życiu Aleksander zapomniał swego podziwu dla Dyogenesa i poszedł całkiem odmienną drogą, niż ta, jaką mędrzec wskazywał. Stoczył on wiele bitew, odbył sławne wyprawy wojenne, wśród których co prawda składał dowody hartu i wstrzemięźliwości, zarówno jak męstwa i odwagi, ale gdy po odniesieniu świetnych zwycięztw wracał do kraju, uniesiony radością i dumą, przestał być panem siebie, otoczył się zbytkiem i pogrążył w hulankach, które nadwerężyły jego zdrowie. Raz, nadużywszy trunku, wpadł w gniew i w napadzie złości zabił swego przyjaciela. Po wytrzeźwieniu pogrążył się w rozpaczy, wkrótce zachorował i umarł, będąc jeszcze w bardzo młodym wieku.

Czy którekolwiek z was, dzieci, chciałoby być

Dyogenesem? Nie sądzę; mieszkać w beczce, być stale źle odzianym i nieustannie pościć, to nie jest tryb życia, jakiego wy pragnęlibyście dla siebie, lub ja bym wam życzyć mogła. Myślę także, że można uniknąć lekkomyślności i nadużyć, które zgubiły Aleksandra, nie popadając w dziwactwo, jakiem zasłynął Dyogenes. Dla objaśnienia dodam wam jeszcze, że gdyby ten ostatni żył w naszych czasach i w naszym kraju, nie mógłby żyć tak, jak wówczas w swym rodzinnym Koryncie. Ojczyzna jego miała ciepły, słoneczny klimat, nieznanym w niej był śnieg, mróz i słota, ziemia żyzna obfitowała w owoce, więc Dyogenes ani ciepłej odzieży, ani dobrze zaopatrzonego mieszkania nie potrzebował, zapewne nawet bardzo rzadko chronił się do swej beczki i to raczej przed upałem słonecznym, niż przed zimnem lub słotą. Nie wiem, czyby u nas wytrzymał już nietylko w beczce, ale w nieopalanem mieszkaniu przy 15 stu stopniach mrozu.

Wiemy też, że ludzie, nie będący wcale mędrcami, ani filozofami, żyjąc w tych samych warunkach, co Dyogenes, tak jak on poprzestają na małem, nie budząc tem niczyjego podziwu. W południowych Włoszech, gdzie klimat jest równie ciepły, jak w Grecyi, w Neapolu i okolicach jest mnóstwo biedaków, którzy bynajmniej nie dbają o pracę zarobkową, gdyż największem ich szczęściem jest leżyć nad brzegiem morza, grzać się w słońcu i dumać. Odrobina gotowanego bobu lub soczewicy, a wreszcie ślimaków morskich, zwanych frut-

ti di mare (czyli owoce morza), wystarcza do zaspokojenia głodu, a ubierać się bardzo nie potrzebują, bo zimno im niegrozi. Tych biedaków, zwanych lazaronami, nikt czcią nie otacza, gdyż przyczyną ich wstrzemięźliwości jest albo niezależny od nich brak pracy, bieda, albo też całkiem bezmyślne samolubne lenistwo. Istnieją jednak narody, które w zupełnem zrzeczeniu się wszelkich wygód, dostatku, a nawet najskromniejszego dobrobytu, widzą szczyt świętości i cnoty, a najwyższą czcią darzą ludzi, którzy tę doskonałość do najwyższych posunęli granic. Takim narodem są Indusi. Ich święci, fakirami zwani, nie myją się, nie czeszą, nie strzygą włosów, nie obcinają paznogci, żyją ze skąpo im udzielanej jałmużny, a często dla złożenia dowodu wielkiego panowania nad sobą, wprost nie ruszają się z miejsca, na którem siedzą lub stoją, czasem z jedną ręką nieruchomo wyciągniętą jak drogowskaz, a wreszcie rozmyślnie zadają sobie różne cierpienia fizyczne bez wydania jęku. Naturalnie nie pracują także. Czy zachwycacie się ich świętością i wstrzemięźliwością, posuniętą do tak dalekich granic? Ja, nie. Wolę już hart i wytrzymałość Spartan, bo te miały cel widoczny i zrozumiały, przysparzały ich ojczyźnie dzielnych i nie lękających się śmierci obrońców. Wolę nawet dziwactwa Dyogenesa, gdyż bądź co bądź zapewniały mu niezależność i zachowanie swej ludzkiej godności nawet wobec potężnego władcy, któremu wszyscy schlebiali i bili pokłony.

Dla tego właśnie wstrzemięźliwość, zdolność znoszenia wysiłków, cierpień, trudów i niewygód jest tak cenną zaletą, że nam daje i fizyczną i moralną siłę, a ztąd od niejednej nizkiej pokusy uchronić może.

W tych samych odległych czasach co Dyogenes, żył w dzisiejszych Włoszech, a ówczesnem państwie rzymskiem dzielny wojownik Maniusz Kuryusz. Jego męztwo i charakter zjednały mu cześć i zaufanie narodu rzymskiego, powierzono mu więc najwyższą władzę, był jednym z dwóch konsulów sprawiających rządy. Mimo tak wysokiego stanowiska Maniusz nie porzucał bynajmniej skromnego trybu życia, do jakiego przywykł. Najzaciętszymi wrogami Rzymian byli wtedy ich sąsiedzi Samnici. Nie mogąc ich pokonać, próbowali złamać ich w inny sposób, mianowicie przez wywołanie zdrady w ich szeregach. W tym celu wyprawili potajemnie do Maniusza posłów z bogatemi darami, z poleceniem, by go przekupili. Posłowie ci zastali konsula siedzącego przy płonącem na kominie ognisku i obierającego rzepę na wieczerzę. Ten widok ich stropił — niemniej jednak przedstawili mu swe życzenie i pokazali dary. — Maniusz bez wahania, z pogardą odrzucił ich propozycye i rzekł: „Człowiek, który się żywi rzepą, może się nie oglądać na sute podarunki; bogactwo nie jest mu potrzebne". Istotnie, gdyby Maniusz rozmilowany był w zbytku i do niego nawykły, może namiętna żądza bogactwa wzięłaby górę nad miłością

ojczyzny i poczuciem godności. Wiemy też z historyi, że cnoty obywatelskie, miłość ojczyzny, rycerska dzielność i nieskazitelność charakteru zawsze u narodów i pojedyńczych ludzi szły w parze ze wstrzemięźliwością i skromnym, a nawet surowym trybem życia. W tymże samym rzymskim narodzie, gdy rozpanoszył się zbytek, chęć używania, hulanki, pijaństwo i rozpusta — zdrady i przekupstwa stały się częste, a charaktery znikczemniały.

Toż samo było i u nas. Polacy byli także dzielnym i wytrwałym narodem, a mieli ludzi równie nieskazitelnych jak ów żywiący się rzepą konsul rzymski. Kiedy król Bolesław Krzywousty walczył z cesarzem niemieckim, wysłał do niego pewgo zacnego rycerza dla układów. Cesarz zaprowadził go do ogromnej skrzyni pełnej klejnotów i drogich kamieni chcąc go olśnić, a może i na swą stronę zjednać. Wtedy nasz rycerz zdjął z palca pierścień złoty, który nosił, i rzekł: „Idż złoto do złota; nam Polakom ono nie potrzebne, póki mamy dość żelaza na oręż“. Mamy też w starych księgach dowody, że nawet w wychowaniu synów królewskich trzymano się zasady przyzwyczajania ich do trudów, niewygód, wstrzemięźliwości w jedzeniu i piciu i wogóle skromnego życia. — Potem jednak, gdy się obyczaje popsuły, gdy pijatyki i uczty zaczęły wypełniać życie szlachty, która sprawami kraju rządziła i obronę jego wyłącznie sobie miała powierzoną, zdrady i przekupstwa, nikczemne pochlebstwo i ubieganie się wyłącznie za własnym zyskiem doprowadziły naród do upadku. — Człowiek który nie umie pohamować wych zachcianek, jest sługą własnego żołądka lub gardła, nie zasługuje na zaufanie; na jego charakter nikt liczyć nie może.

Są jednak i inne pobudki skłaniające ludzi do wstrzemięźliwości i ograniczania swych potrzeb.

O świętej Elżbiecie, królowej węgierskiej, opowiadają następujące zdarzenie. Była ona przyzwyczajona do wygód i zbytku, oraz do sutych uczt, w których lubował się jej mąż i cały dwór królewski. Gdy jednak jej spowiednik wyjaśnił, że całe bogactwo w którem opływa, jest dziełem rąk nędznego, głodnego, pracującego ludu, że podatki ściągane od najbiedniejszych służą na zaspokojenie zbytkownych zachcianek jej rodziny i dworzan, postanowiła żywić się wyłącznie chlebem i wodą. Jako królowa musiała brać udział w ucztach, ale nawet siedząc przy tym samym stole, co jej mąż, goście i dworzanie, stale tylko chlebem i wodą się żywiła, czyniła to jednak tak, by nie zwracać niczyjej uwagi. — Raz jednak zdarzyło się, że król wróciwszy do domu zastał ją przy obiedzie, a że był bardzo spragniony pochwycił jej kielich, by się napić. — „Jakże przepyszne to wino! zawołał; nigdy równie dobrego nie piłem“ — i zwrócił się do podczaszego, zkąd bierze wino dla królowej? Zdumiony dworzanin objaśnił, że królowa zawsze tylko wodę pije, a Elżbieta sama opowiedziała mężowi pobudki swego postępowania. Legenda nie

wspomina, czy król skutkiem tego zbytek dworu ukrócił, a o złagodzeniu nędzy ludu pomyślał, sądzę jednak że w wyobrażeniu tej cudownej przemiany kryje się myśl, iż nawet najskromniejszy napój jest smaczny, gdy nam go nie truje myśl, o cudzej krzywdzie. Takiem samem współczuciem dla nędzy i cierpienia kierowali się i w naszych czasach ludzie, którzy porzucali wygodne i dostatnie życie i szli do warsztatów i fabryk, podzielali z robotnikami ich najcięższe prace, ich nędzne mieszkania i niedostateczne jadło, jedynie dla tego by się z nimi zaznajomić i z bliska poznać ich potrzeby i niedolę. W Anglii uczynili tak państwo Webb, mąż i żona. Potem wspólnie opracowali obszerną książkę o położeniu robotników w przemyśle angielskim, a smutny obraz stosunków robotniczych poruszył czytelników i skłonił do przeprowadzenia różnych zmian w prawach dotyczących pracy i zarobku. Przykład ich zachęcił innych i coraz częściej powtarzały się takie wypadki w Anglii, Ameryce, Francyi i Niemczech.

A u nas, czy nie ma ludzi zdolnych do podobnego poświęcenia, do wyrzeczenia się wygód i przyjemności dla drugich. Może i są, ale może równie nieznani, jak wielu z tych, co robią dobrze dla samego dobra, — bez szukania rozgłosu. Słyszałem nieraz o podobnych przykładach, a jeden wam opowiem.

Dwaj młodzieńcy z rodzin zamożnych dostali się do więzienia i pomieszczono ich w jednej celi

razem z kilkudziesięciu biedakami, między którymi byli robotnicy, roznosiciele gazet, zbiegli z wojska żołnierze i t. p. Cela była wi'gotna, ciasna i ciemna. Nie było mowy o żadnem umeblowaniu, a nawet o łóżkach. Sypiali wszyscy na słomie rzadko zmienianej, nie mieli nawet, gdzie nóg wyciągnąć, gdyż było tak mało miejsca, że musieli spać skurczeni. Jadło przynoszono im w kotłach, z których czerpali wszyscy razem, a możecie sobie łatwo wyobrazić, że nie było smaczne ani ponętne. Dla młodych chłopców wychowanych w wygodach, nawykłych do czystości i dostatniego pożywienia, było to wszystko przyczyną niemałych udręczeń, to też ich rodziny bardzo nad niemi bolały i czyniły gorliwe starania, by ich los złagodzić. Uzyskano nareszcie pozwolenie przeniesienia ich do szpitala, gdzie mieliby czystsze otoczenie, jakiekolwiek łóżka i pożywienie lepsze. Ale młodzi oparli się temu stanowczo: „Szpital jest dla chorych, a my jesteśmy zdrowi. Jeśli takich jak my pomieszczą w szpitalu, gdzież się podzieją chorzy biedacy, dla których naprawdę pobyt w takiej celi zabójczym być może“.

Gdy w żaden sposób nie można było ich do tego nakłonić, matki uzyskały prawo dostarczania im lepszej żywności, aby przynajmniej pod tym względem potrzeby ich zaspokoić. Ale i na to zgodzić się niechcieli: „Czyżbyśmy mogli zajadać smaczne potrawy patrząc na tych biednych towarzyszy więzienia, którym nikt obiadów z domu dostarczać nie może i muszą na naszem jadle z kotła poprze-

stawać? Kiedy nas wspólne nieszczęście połączyło, to musimy z niemi na równi wszystkie udręczenia podzielać i nie dręczyć ich jeszcze widokiem naszych niezasłużonych przywilejów". Wszelkie nalegania były daremne. Wtedy tylko przyjmowali jakiś dodatkowy posiłek, jeśli go dostarczono tyle, by dla wszystkich starczyło.

Naturalnie, że ci młodzieńcy, gdy się znaleźli znów na swobodzie, powrócili do swych dawnych nawyknień porządku, czystości i względnej wygody, bowiem sypianie na brudnej i wilgotnej słomie, jedzenie lichej zupy ze wspólnego kotła, obywanie się bez światła i powietrza nie jest niczem dobrem samo przez się. Przeciwnie powinniśmy pragnąć tego, aby każdy człowiek mógł mieć schludne, dostatecznie obszerne i jasne mieszkanie, własne łóżko i zdrowe, dostatnie pożywienie. Na pochwałę zasługuje tylko ich współczucie dla towarzyszy niedoli i wola zdolna zapanować nawet nad uprawnionem nawyknieniem do skromnego dobrobytu, gdy chodzi o rzecz ważniejszą, o oszczędzenie cierpień bliźniemu.

Widzimy więc, że i tu o wartości czynów ludzkich stanowią pobudki i zamiary. Inaczej oceniamy włoskich lazaronów i indyjskich fakirów, a inaczej czyn Maniusza Kuryusza, królowej Elżbiety, państwa Webb lub naszych młodzieńców.

Bezpożyteczne i bezcelowe ograniczenie tak elementarnych potrzeb, jak potrzeba pożywienia, powietrza, światła, czystości i ruchu jest samo przez

się o tyle naganne, że osłabia siły człowieka, niszczy jego zdrowie, czyni go niezdolnym do pożytecznej pracy, a stąd podaje właśnie w zależność od ludzi, dla których staje się ciężarem. Naród, który swoich „świętych" jałmużną żywić musi, choćby nawet każdy z tych świętych jaknajmniej potrzebował, obarczony jest podwójnem brzemieniem pracy. Gdzie takie pojęcia doskonałości się rozpowszechniają, tam zwykle z czasem nędza ogólną się staje.

Równie jednak szkodliwe dla zdrowia jak nędza i głód są hulanki, pijatyki, nadużycia, zbytki z bezczynnością połączone. I one wyniszczają siły, sprowadzają cherlactwo, niedołęztwo, śmierć przedwczesną, odbierają zdolność do pracy i osłabiają charakter. Ludzie, którzy tak żyją, stają się również ciężarem dla tych, którzy nieraz ciężko pracują o chłodzie i głodzie dla zaspokojenia ich wymyślnych zachcianek. Najwymowniejszy przykład tego daje nam pijaństwo.

Mówią, że Mahomet, prorok arabski i twórca religii, która później od Arabów i do innych ludów przeszła (np. do tatarów) gdy był jeszcze młodym, znalazł się raz w domu, w którym towarzystwo zabawiało się piciem wina. Widząc wybuchy wesołości zgromadzonych, ich rozpromienione twarze, żywe ruchy, płomienne oczy — pomyślał: „Trunek jest dobrą rzeczą; dodaje ludziom siły, odwagi, humoru, przynosi szczęście", — i z tą myślą wrócił do siebie. W kilka godzin później wypadło mu znowu przechodzić tamtędy i ciekawością zdjęty

zajrzał, co się dzieje z ucztującem towarzystwem. I oto, co ujrzał: Ten i ów z biesiadników upojony runął bezwładny na ziemię, inny znów niby otruty zdradzał objawy choroby, a twarz jego pokrywała śmiertelna bladość; najmniej pijani kłócili się zawzięcie, targali się za włosy lub ranili nożami. Ten widok najzupełniej zmienił przekonania Mahometa: „Rozpalający trunek powiedział sam do siebie — jest najgorszą trucizną. Odbiera człowiekowi siły, zdrowie, rozum podnieca instynkty nienawiści i popycha do zbrodni". To też gdy później tworzył dla swych ziomków religijne przepisy, surowo im zabronił picia wina i innych trunków rozpalających. Każdy z nas zresztą -- tak samo jak Mahomet miał możność się przekonać o szkodliwości trunku. Ileż to codziennie gazety podają wypadków nieszczęścia lub zbrodni, których przyczyną było pijaństwo!...

POGADANKA CZWARTA.

Panowanie nad sobą.

Zbliżam się do pokoju, w którym przebywa liczna gromadka dzieci i słyszę ogromną wrzawę, ale nie mogę rozróżnić ani pojedynczych głosów, ani słów wymawianych. Nie wiem, czy się kłócą, czy też się tylko bawią. Najprzód zdaje mi się, że przemaga śmiech, w końcu jednak słyszę wybuch

płaczu. Wchodzę i pytam, co się stało, ale z razu nikt mego zapytania nie słyszy skutkiem hałasu, a później ja nie mogę usłyszeć odpowiedzi, bo wszyscy mówią razem.

„Nic nie rozumiem; niech tylko jedno odpowiada".

„Ja opowiem!" „Właśnie, że ja" „Ja powiem"— i znowu dziesięć głosów naraz, a wszystko zanadto podniesione, zanadto krzykliwe. Dopiero po kilku minutach wrzawa cichnie, a tymczasem ja oglądam się i widzę spustoszenia, które spowodowała zabawa. Na podłodze wielka plama atramentu i przewrócony kałamarz, szyba wybita, jedno z dzieci ma zaczerwienione oko, drugie siedzi, płacze i trzyma się za nogę skarżąc się, że chodzić nie może.

„Goniliśmy się, Karol trącił stołem i rozlał atrament".

„Nienaumyślnie — proszę pani, wtrąca Karol".

„Mania, chcąc wyścignąć Józię, odepchnęła ją, a Józia padając uderzyła w oko Romcia, bo trzymała w ręku ołówek"!

„Ale nieumyślnie", tłomaczą się równocześnie Mania i Józia!

„Janek przenosił na głowie krzesełko a uciekając przed goniącemi go, cofnął się do okna i zbił szybę".

„Przypadkiem zbiłem, nie naumyślnie".

„A czemuż Stefcia płacze?" pytam dalej.

„Bo mnie Staś tak mocno w nogę udepnął, że chodzić nie mogę".

„Ale ja nie chciałem, przypadkiem to zrobiłem, a tyś mnie tak mocno uszczypnęła“.

„Ja nie wiedziałam, co robię, z bólu chwyciłam cię za rękę, bo myślałam że padnę, i może uszczypnęłam, ale nie naumyślnie“.

Cóż się więc okazało? Żadne z dzieci nie chciało ani nieporządku zrobić w pokoju, ani też jedno drugiemu bolu sprawić; chciały się tylko bawić, a bynajmniej nie kaleczyć, popychać, rozbijać. Wszystko złe stało się przypadkiem, bez woli dzieci, ale czy bez ich winy? Nie. Czy to dosyć, jeśli dzieci robią złe *nie umyślnie?* Bynajmniej; mamy jeszcze prawo wymagać, ażeby *umyślnie* robiły dobrze, a złego unikały. Cóż więc stanowiło przewinienie tych dzieci? To, że nie panowały nad swemi ruchami, tak jak nie panowały nad swoim głosem, nad swym pośpiechem w gonitwie i zniecierpliwieniem w bolu.

Jeżeli cię skóra zaswędzi, drapiesz się, jeśli cię w nosie łechce, kichasz, jeżeli padasz, podnosisz ręce poziomo i machasz niemi dla utrzymania równowagi. Nie namyślasz się w tych wypadkach nad tem, co masz zrobić, nie postanawiasz i nie zdajesz sobie nawet sprawy z tego co robisz.—To się robi samo bez twej wiedzy. Otóż tego rodzaju ruchy mimowolne nazywamy odruchami. Do odruchów też zaliczyć możemy takie nieumyślne uszczypnięcie Stasia przez Stefcię, odepchnięcie, potrącenie stołu, słowem całe zachowanie się powyżej opisanych dzieci. Człowiek rozsądny, rozważny, dobrze wychowany zdaje sobie sprawę ze swych ruchów i kieruje niemi, wie co robi i dla czego robi, nie traci przytomności umysłu i unika dla siebie i drugich wielu przykrości, a czasem i poważnych nieszczęść.

Przed dwudziestu kilku laty w Warszawie w pierwsze święto Bożego Narodzenia, jak zwykle w taki dzień uroczysty, był tłum osób w kościele Ś-go Krzyża na nabożeństwie. Ciasno było w kościele i w kaplicach, a wiele osób mimo zimna, nie mogąc się dostać do wnętrza stało na schodkach... Wtem wsród zebranej publiczności, powstal popłoch. Zdaje się, że ktoś ze zmęczenia zemdlał, ktoś inny chcąc go cucić zawołał: „wody!“, drudzy zrozumieli, że chodzi o zgaszenie ognia i wołając: „Pożar“ rzucili się ku drzwiom wchodowym. W jednej chwili cała zwarta masa osób pod wpływem strachu cisnąć się zaczęła do wyjścia, jedni drugich pchali, przewracali, roztrącali; przy drzwiach utworzyła się istna prasa, w której gruchotano kości i rozdeptywano tych nieszczęśliwych, co padli na ziemię. W dodatku jeszcze cisnąc się wszyscy razem jedni drugim tamowali przejście i przez kłąb zbitych ciał ani do wnętrza, ani na zewnątrz przedostać się nie było można tak, że ratunek był niemożliwym. Mimo, że wcale ognia nie było, wielu ludzi wśród ogólnego zamętu poniosło okropną śmierć z uduszenia lub roztratowania. Niewątpliwie nikt tego nieszczęścia nie chciał, nikt z zebranych w kościele nie godził na życie swego bliźnie-

go, który stał obok niego w modlitwie pogrążony, ale jednak ci ludzie dopuścili się z zbiorowego morderstwa — zupełnie nieumyślnie i to z tej samej przyczyny, która naszą gromadkę dzieci doprowadziła od zabawy do sińców, płaczu i wymówek. Przyczyną tą brak panowania nad sobą, nieświadome odruchy zamiast rozważnych, wolą kierowanych ruchów. Tak jak Mania i Romcio nie umieli zapanować nad swym pośpiechem, a Stefcia nad nagłem uczuciem bolu, tak parafianie świętokrzyskiego kościoła nieumieli zapanować nad strachem, popłochem.

W tymże samym czasie w innem wielkiem mieście w Wiedniu zupełnie podobny straszny wypadek zdarzył się w teatrze w czasie przedstawienia z tą różnicą, że tam pożar wybuchnął istotnie. Gdyby jednak obecna publiczność wychodząc z teatralnego gmachu była zachowała trochę rozwagi i zimnej krwi, i trzymała się kolei, wszyscy w ciągu kilku minut mogli opuścić płonący budynek i uratować życie. Ponieważ jednak tak samo jak w kościele Świętokrzyzkim cały tłum cisnął się naraz, jedni roztrącając drugich odrazu zatamowali wyjście i kilkaset osób zginęło w okrutnych mękach częścią skutkiem uduszenia i roztratowania, a częścią ze spalenia. Ileż rodzin ta jedna straszna katastrofa okryła żałobą! A ileż więcej byłoby katastrof podobnych, gdyby się ludzie nie ćwiczyli w panowaniu nad sobą, w kierowaniu swemi ruchami i postępkami.

Widzieliście nieraz pociąg kolei żelaznej w biegu. Tuż za lokomotywą jest oszklona ze wszystkich stron budka, a w niej siedzi maszynista. Maszyna pędzi i wyrzuca kłęby dymu, żar bije od rozpalonego kotła, a maszynista ani na sekundę nie zejdzie ze swego posterunku, oczy ma zwrócone na drogę, którą pociąg ma przebiedz i bacznie śledzi zarówno bieg maszyny jak i każdy ukazujący się na tej drodze znak kolorowy lub świecący. Człowiek ten kieruje pociągiem; gdyby się choć na chwilę zapomniał, zamyślił o czem innem, przestał nad swemi ruchami i swym wzrokiem panować, gdyby przeoczył jakiś sygnał lub przypadkiem wprowadził parowóz na inną linię niż powinien, pociąg mógłby się wykoleić, zderzyć z innym biegnącym w przeciwną stronę, wjechać na stacyi na naładowane wozy z towarem, i nastąpiłaby jedna z tych okropnych katastrof kolejowych, o których nieraz czytamy, a czytając krew nam się w żyłach ścina na myśl o strasznych cierpieniach konających i kalek, ofiar nieszczęśliwego wypadku. Mimowolnym sprawcą jego jest maszynista, który też naturalnie nienaumyślnie źle kieruje pociągiem i najczęściej pierwszy pada ofiarą swej omyłki lub zapomnienia. Człowiek, który w takiej chwili ma w ręku zdrowie i życie setek osób, potrzebuje ogromnego panowania nad sobą, a nieraz zasługuje wprost na podziw, jeśli swą odpowiedzialną i bardzo męczącą czynność spełnia po kilkanaście — czasem, jak bywało, i po 20 godzin z rzędu. Trudno nawet sobie wy-

obrazić, jak zdoła człowiek tak strasznie zmęczony w ciągu bezsennej nocy zdobyć się na dostateczną przytomność umysłu, by pociąg bezpiecznie do krańcowej stacyi doprowadzić!

Może zdarzyło wam się kiedy płynąć statkiem parowym po rzece? Ponad pokładem znajduje się tam na wysokich słupkach umocowany pomost, a na nim koło o wielu krótkich, równych ramionach. Przy tem kole stoi sternik, a obok niego kierownik okrętu, kapitanem zwany. Jeden w miarę potrzeby obracając koło nadaje odpowiedni kierunek statkowi, drugi śledzi jego bieg, porównywa go z mapą drogi, wydaje sternikowi odpowiednie rozkazy. Muszą oni panować nad ruchami statku, aby go bezpiecznie przeprowadzić do miejsca przeznaczenia. Jeżeli droga jest niedługa i dobrze im znana, jeśli naprzykład statek płynie po Wiśle od Warszawy do Płocka lub Włocławka, zadanie ich bardzo trudne nie jest, choć i tu nieuwaga, pomyłka, przypadkowy nierozmyślny ruch koła, mogą wpędzić statek na mieliznę, zderzyć go z jakim mijającym go parowcem lub berlinką i narazić podróżnych na wielkie przykrości a czasem nawet na niebezpieczeństwa. Wyobraźmy sobie jednak wielki parowiec, płynący po morzach czasem przez kilka tygodni z rzędu. Na ileż niebezpieczeństw może on być narażony! Może go spotkać burza gwałtowna i zalewać jego pokład bałwanami, miotać nim na wszystkie strony, a jeśli statek nie jest utrzymany w porządku, jeśli kapitan zawczasu burzy nie przewidzi i nie poczyni odpowiednich zarządzeń, to nawałnica może go uszkodzić lub na zniszczenie narazić. Czasem burza wpędza statek na całkiem inną drogę niż ta, która jest dla żeglugi wskazaną, silny prąd wody unosi go na skały, o które się rozbić może, lub między płynące lodowce, które go zgniotą, lub na mielizny, gdzie osiada nieruchomy. Czasem też nagle mgła okrywa szerokie powierzchnie morza i obejmuje statek ze wszystkich stron. Wzrok nie przenika gęstej chmury zakrywającej horyzont, trudno dojrzeć, gdzie brzeg, gdzie skała, gdzie jakiś inny okręt nadpływa. Wtedy trzeba nieustannie śledzić kierunek drogi z mapą w ręku i ciągle dawać świstawką sygnały, a zarazem nadsłuchiwać sygnałów obcych, aby uniknąć zderzenia z innym okrętem. Mgła jest może niebezpieczniejszą dla morskiej żeglugi niż burza, gdyż najczęściej właśnie zderzenie się dwóch statków bywa przyczyną rozbicia się i zatonięcia. Jakże ogromna odpowiedzialność ciąży na tych ludziach, którzy okrętem kierują i mają w ręku życie wszystkich podróżnych! Ileż czujności, uwagi, panowania nad sobą, nad swem zmęczeniem, obawą, nad swemi zmysłami i ruchami muszą oni posiadać, zwłaszcza gdy podróż jest ciężka, morze burzliwe, pogoda zmienna! O iluż to rzeczach pamiętać trzeba równocześnie! jak ściśle kontrolować pracę maszyn, natężenie pary w kotle, sprawność i punktualność czynności całej załogi, która pod rozkazami kapitana okręt obsługuje!

Wtedy zaś, gdy mimo wszystkich środków zapobiegawczych katastrofa nastąpi i okręt jest tak uszkodzony, że niechybnie musi iść na dno, a jedynym środkiem ocalenia jest ucieczka na łodziach ratunkowych, ileż to znowu trzeba siły woli i panowania nad sobą, aby porządek na pokładzie utrzymać, ażeby w samej czynności ratunkowej nie powstał zamęt i popłoch taki, jak naówczas w kościele Ś-go Krzyża i z takimże samym lub jeszcze straszniejszym skutkiem! Coby się stało, gdyby się wszyscy naraz do łodzi ratunkowych cisnęli jedni odpychając drugich? Wszyscy poszliby na dno; jedni na statku, z którego się nie mogli wydostać, drudzy wraz z przeciążonemi łódkami, inni zepchnięci z drabin przez tych, co ich wyprzedzić chcieli! Na szczęście nad wszystkiem czuwa kapitan, którego obowiązkiem jest wytrwać do końca na okręcie i albo zejść ostatnim, albo wraz z nim utonąć. — Ma on w tej chwili prawo życia i śmierci nad swoją załogą, obejmuje nad nią surową komendę i pilnuje, aby najsłabsi: kobiety, dzieci i starzy uratowali się pierwsi, później dopiero podróżni, potem marynarze, sternik, a w końcu nareszcie sam, jeśli jest czas jeszcze.

Rozumiecie dobrze, że ten człowiek w każdej sekundzie musi sobie doskonale zdawać sprawę z tego co robi, a chcąc żeby drudzy ściśle jego rozkazy i jego obowiązki spełniali, musi w pierwszym rzędzie być sam sobie posłusznym, t. j. słuchać wiernie nakazów swego rozumu i sumienia.

Niema tu miejsca na nieświadome odruchy, ani na błahe wymówki: „Nieumyślnie wjechałem na skałę, nieumyślnie nie wiedząc co robię pierwszy przepchnąłem się do łodzi ratunkowej“.

Może pierwszy raz słyszycie o takich poważnych i odpowiedzialnych obowiązkach i o tak olbrzymiej mierze panowania nad sobą. Codziennie jednak spotykacie się z drobnemi faktami życia, w których opanowanie siebie i swoich ruchów jest niezbędnem ze względu na własne i cudze niebezpieczeństwo. Coby się to działo na ulicach wielkiego miasta, gdyby każdy dorożkarz na koźle, każdy rowerzysta rozpędzony na swem kole, każdy woźnica tramwajowy nie skupiał uwagi i nie był każdej chwili panem swych ruchów? A co się to dzieje na chodnikach ulic, przy wejściu lub wyjściu z kościoła, ze sali widowisk lub zgromadzeń, gdy się ludzie nieumyślnie potrącają, depczą, przepychają, zaczepiają parasolami? Każdy z was miał sposobność przekonać się, ile to jedno drugiemu nieumyślnie przykrości zrobić może!

Kiedyż to ludzie najmniej zdają sobie sprawę z tego, co robią, kiedy ich ruchy przybierają charakter nieświadomych odruchów? Gdy są pijani.— Tak; o tem już mówiliśmy. Gdy ich strach ogarnia. Tak jest; przytaczaliśmy już przykłady. I jeszcze kiedy?—Gdy się bardzo rozzłoszczą. — Istotnie; gniew jest bardzo częstą przyczyną czynów mimowolnych, których później żałować nam przychodzi, to też jest rzeczą niezmiernie ważną panować nie

tylko nad swemi ruchami ale i nad uczuciami, które mogą nam przytomność umysłu obebrać i popchnąć wbrew naszej woli do złych a czasem zbrodniczych postępków.

Słyszeliście zapewne o mieście Krakowie, dawnej siedzibie królów polskich? Jest tam do dzisiaj zamek stary, wspaniały, położony nad Wisłą na wzgórzu zwanem Wawelem. Zwiedzającym ten zamek i jego pamiątki pokazuje przewodnik długą podziemną grotę zwaną Smoczą Jamą, której nazwa bierze początek z dawnego bajecznego podania. Mówią, że krył się w niej niegdyś smok, który ludzi pożerał. Nie widzieliście nigdy smoka i ja też nie. Wiem nawet, że smoków wcale niema, że ich wogóle nigdy nie było. W bajkach ludowych i legendach jednak spotykamy się z niemi bardzo często. Wszystko co najstraszniejszego wymyślić sobie można, przypisywano owym skrzydlatym smokom o wężowej łusce, lwich szponach, paszczy ogniem ziejącej. Otóż jeden z takich smoków miał zamieszkiwać jaskinię podziemną na Wawelu, a był plagą ludności, bo pożerał dzieci i dorosłych. Dwaj bracia, synowie księcia Kraka, postanowili oswobodzić kraj od potwora i razem obmyślili zasadzkę. Podrzucili mu mianowicie do jamy zabite cielę zaprawione siarką, które smok pożarł, a następnie trawiony piekielnem pragnieniem pil tyle wody ze źródła, które również w jamie pokazują, że pękł. Bajka mówi dalej, że lud składał hołdy wdzięczności młodym królewiczom

bardzo dumnym ze swego postępku, lecz pod ich wpływem wybuchnęła między braćmi zazdrość. Każdy sobie samemu chciał zasługę przypisać, przyszło do kłótni, wreszcie do śmiertelnej bójki, w której jeden brat zabił drugiego. Zgorszony i oburzony lud wypędził bratobójcę z kraju, a po śmierci Kraka oddał rządy w ręce ich siostry, pięknej, szlachetnej i nad życie milującej swój naród Wandy. — Sens moralny tej bajki oznacza, że łatwiej jest pokonać najstraszniejszego smoka niż samego siebie, to jest gorsze od smoków potwory złości i zawiści, które gnieżdżą się w człowieku i pożerają jego szlachetne popędy. Przeciwieństwem tej bajki jest legenda o świętym Jerzym, epatroni Anglii. Był on mnichem rycerskiego zakonu S-go Jana na wyspie Rodus niedaleko od Ziemi Świętej. I tam także miał przebywać smok równie drapieżny jak na górze Wawelu. Pobożni rycerze jeden po drugim wyprawiali się do jego jaskini z zamiarem zamordowania go, ale żaden z nich żywy nie wrócił, każdy został pożarty przez potwora. Wówczas Wielki Mistrz zakazał im surowo dalszych prób obawiając się, że całe zgromadzenie może paść ofiarą. Jednakże święty Jerzy, pragnąc uwolnić kraj od tej klęski w tajemnicy gotował się do śmiertelnej walki. Przez trzy miesiące ćwiczył się w robieniu bronią, w zwinnych i szybkich ruchach, aż w końcu pewnego dnia o świcie wyruszył do lasu. Walczył ciężko, nieustraszenie, z ostatecznym wysiłkiem, wreszcie potwór legł martwy u je-

go stóp. Wiadomość o zabiciu smoka wywołała nieopisany zapał mieszkańców i braci rycerzy. Wszyscy domagali się głośno, by Wielki Mistrz obdarzył Jerzego krzyżem, najwyższą nagrodą ustanowioną w zakonie. Sam bohater wzruszony i drżący oczekiwał wyroku z ust swego przełożonego.

„Bracie, odezwał się ten wreszcie, w naszym klasztorze posłuszeństwo jest pierwszym obowiązkiem. Sprzeciwiłeś się moim rozkazom. Żądza sławy, próżność skłoniła cię do zabicia smoka. Idź do swej celi, krzyża nie dostaniesz“,

Nastąpiła chwila milczenia, a potem jednogłośny okrzyk obecnych: „To za surowo, Mistrzu. On jest bohaterem, zasłużył na nagrodę“. Jeden tylko Jerzy nie rzekł ani słowa. Krew uderzyla mu do twarzy i już miał wybuchnąć gniewem, ale pohamował się, głowę spuścił i zwolna w milczeniu szedł do swej celi.

Widząc to Wielki Mistrz uśmiechnął się łagodnie, przywołał go i zawiesił mu złoty krzyż na szyi.

„Dokonałeś większej rzeczy, mój synu, niż zabicie potwora; zwyciężyłeś samego siebie, pokonałeś własny gniew i próżność“.

Cóż sądzicie o tej legendzie? czy Wielki Mistrz miał słuszność?

„Nie; bo odwaga i poświęcenie jest większą cnotą niż posłuszeństwo.

„I ja tak sądzę; myślę jednak, że odwagi i poświęcenia nagradzać nie potrzeba. Radość mie-

szkańców, uwolnienie ich od klęski, jaka ich trapiła, (przypuszczajac, że potwór żył istotnie) były już dostateczną nagrodą dobrego czyuu. Gdyby Jerzy był wybuchnął złością na wieść, że krzyża nie dostanie, byłoby to istotnie znaczyło, że nie chodziło mu o to, żeby cóś dobrego zrobić, lecz, żeby się mieć czem przed ludźmi chwalić i swój czyn rozgłaszać. Może więc miał słuszność Wielki Mistrz, że go na próbę wystawił? Najłatwiej jest panować nad złemi popędami, gdy szlachetne chęci tak całkowicie opanują wolę człowieka, że wprost wszystko inne, wszystkie małostki, osobiste drobnostkowe korzyści, zaszczyty, honory — przestają dla niego istnieć. Bardzo ładne przykłady takiego panowania nad sobą znajdujemy w życiorysach wielkich ludzi.

W Grecyi, w mieście Ateny, przed wielu setkami lat żył dzielny człowiek nazwiskiem Temistokles. Ateny leżą tuż nad morzem, liczne okręty stały tam zawsze w przystani, a między innemi dużo bywało okrętów wojennych dla obrony brzegów przed nieprzyjacielem.

Gdy Temistokles był jeszcze dzieckiem przechadzając się ze swym ojcem nad brzegiem morza, usłyszał od niego te słowa:

„Patrz na te stare, zniszczone okręty stojące w przystani! Gdy były nowe i mocne, oddawały one krajowi niemałe usługi, niejedną bitwę przetrwały, ceniono je wysoko. Dziś gdy je starość i długie użycie zniszczyły, któż o nie dba? kto się

o nie troszczy? Tak samo dzieje się w Atenach i ludziom. Kraj nie ceni tych, co wiek cały w jego usługach stracili i siły stargali. Niewdzięczność ich udziałem“.

To jednak bynajmniej nie odstraszyło Temistoklesa, nie przestawał marzyć o służbie dla ojczyzny, a gdy dorósł, oddał jej się całkowicie i został bardzo młodo dowódcą floty, czyli admirałem.

Przyszły wtedy na Grecyę ciężkie chwile. Zjawił się potężny wróg, Persowie, przybyli z za morza w tak olbrzymich zastępach, że wydawało się niepodobieństwem, aby im się mała Grecya oprzeć mogła. Mówiono, że gdy ich wojsko zatrzymało się dla napojenia ludzi i koni, to wysuszyło dwie rzeki, co naturalnie nie jest dosłowną prawdą, ale świadczy, jak silnem było wrażenie wywołane przez te nieprzeliczone zbrojne szeregi. —

Popłoch w Atenach był wielki. Co czynić? co począć? Idąc za radą Temistoklesa postanowiono kobiety i dzieci wyprawić w bezpieczne miejsce na odległejszą wyspę, miasto spalić, a wszystkich uzbrojonych mężczyzn przenieść na okręty wojenne, i na morzu stoczyć bitwę z Persami. Widocznie Temistokles znał dobrze środki, jakiemi miasto rozporządzało i więcej ufał w morską niż w lądową siłę zbrojną. Gdy się wodzowie zebrali na naradę wojenną, a każdy swój plan przedstawiał, jeden z nich za nic nie chciał wysłuchać zdania Temistoklesa, lecz swoje własne chciał przemocą narzucić. Gdy admirał mówić zaczął i rozumnie uzasadniał swój projekt, tamten wpadł w złość i kijem zamierzył się na niego. Temistokles nie tracąc zimnej krwi surowym lecz spokojnym wzrokiem zmierzył napastnika i rzekł.

„Uderz — ale słuchaj“.

Jego spokój i powaga poskromiły przeciwnika, a obecnym wpoiły tem większą wiarę w człowieka który nie zniżył się do dowodzenia swej słuszności krzykiem lub siłą. Świetne zwycięztwo w bitwie morskiej pod wyspą Salaminą uwieńczyło usiłowania Temistoklesa, a naród okrzyknął go zbawcą ojczyzny.

W późniejszych jednakże latach sprawdziły się na nim słowa jego ojca. Może działała zawiść ludzka, a może i jego własna wina dość, że go obrzucono podejrzeniami i wygnano z kraju. Jako bezdomny tułacz dostał się na dwór króla perskiego, który go przyjmował z wielkiemi honorami i oświadczał mu się z przyjaźnią licząc, że Temistokles zemści się na swych niewdzięcznych rodakach, stanie na czele wojska perskiego i poprowadzi je na podbój Grecyi. Ale ten choć wygnany, opuszczony i wzgardzony, nie posunął się do zdrady. Wolał umrzeć na obczyznie niż rękę podnieść na naród własny i gdy wszystko było do wyprawy przygotowane, życie sobie odebrał. — Dopiero po śmierci Ateńczycy okazali żal, sprowadzili jego ciało do rodzinnego miasta i pochowali je uroczyście.

Równie piękny, a o wiele świeższy przykład

takiego panowania nad sobą miał miejsce u nas w Warszawie.

Jeszcze przed kilku laty stał na placu Wareckim naprzeciw głównej poczty wielki gmach szpitalny zwany szpitalem Dzieciątka Jezus. Później mieściły się tam i sale dla różnych chorych; początkowo był on wyłącznie przeznaczony na przytułek dla biednych dzieci porzuconych na bruku przez swych rodziców.

W każdym kraju i w każdem mieście znajduje się pewna ilość takich nieszczęśliwych niemowląt, któremi nikt się nie opiekuje. Ojciec porzuci matkę i nie dba o nią w chwili, gdy na nią spada choroba i ciężka troska o wypielęgnowanie słabego noworodka. Matka sama nie może podołać; do pracy nikt jej z dzieckiem nie przyjmie, składa je więc gdzieś na ulicy pod progiem domu na łasce losu. Jedno zamrze z głodu i zimna, inne zostanie znalezione przez jakiegoś przechodnia, czasem trafi na dobrych ludzi, czasem na złych, którzy je pogardliwie traktują, znajdą przezywają wytykając mu jego sieroctwo.

Przed stu laty żył w Warszawie zacny, szlachetny człowiek, ksiądz Baudoin. Chodząc po ulicach miasta i odwiedzając różnych biedaków, których wspomagał, nieraz słyszał żałosne kwilenie jakiegoś podrzuconego niemowlęcia. Widział cierpienia tych niewinnych słabych istotek i głęboko litował się nad niemi. Postanowił więc rozciągnąć opiekę nad tą dziecięcą niedolą i stworzyć przytułek dla dzieci porzuconych. Sam jednak nie miał na to dość pieniędzy, wię chodził od domu do domu i wprost żebrał o datki na szpital pod nazwą „Dzieciątka Jezus“, by przypominała ludziom ubogie dzieciństwo Chrystusa i tem więcej budziła dla dziecięcych cierpień współczucia.

A było wtedy w Warszawie dużo ludzi bogatych wiodących puste, lekkomyślne życie, trwoniących grosz na hulanki, zabawy, pijatyki i niedbających ani o dobro kraju, ani o obowiązki względem cierpiących bliźnich tylko o własne uciechy.

Trafił też między innemi ks. Baudoin do takiego domu, gdzie właśnie gracze zabawiali się kartami, przy zielonych stolikach, a stosy złota leżały przy nich. Jedni wygrywali, drudzy trwonili majątki w ciągu jednej godziny ale wszyscy tak byli zapalczywi, tak całkiem opanowani przez żądzę zysku i zabawy, że nie raczyli nawet głowy odwrócić, gdy im ksiądz Boduen o niedoli bezdomnych, porzuconych niemowląt opowiadał. On jednak tem się nie zrażał, a widząc przed jednym z graczy kupę pieniędzy wprost do niego się zwrócił z żądaniem, by choć ten lekko nabyty grosz z biednemi podzielił. To zniecierpliwiło lekkomyślnego panka, zerwał się wściekły i wymierzył Boduenowi policzek. — „To dla mnie, rzekł ksiądz, a co dla sierot?“

Dziś w tem miejscu, gdzie stał szpital (przeniesiony w inną okolicę miasta) zbudowano ulice, a jedną z nich nazwano ulicą Boduena, dla uczczenia pamięci zacnego człowieka.

POGADANKA PIĄTA.

Cierpliwość.

Dwoje dzieci przepędzało razem lato na wsi, brat i siostra, bardzo zbliżeni wiekiem i bardzo przywiązani do siebie wzajemnie, ale bardzo różni usposobieniem, co się okazywało we wszystkich drobnostkach codziennego życia. Było im bardzo miło i wesoło, gdyż używali zupełnej swobody we wsi, i cały dzień mogli przebywać na świeżem powietrzu w lesie, w polu, na łące, najróżniejsze wymyślając sobie zabawy. Czasem siadali nad płytką rzeczułką, płynącą pod lasem, brali do rąk wędkę i próbowali łowić ryby. Jednakże Marynia nigdy nic nie złowiła, bo zaledwie posiedziała kilka minut, zaczynała się gniewać, że ryba nie nadpływała, rzucala wędkę i starała się Jasia namówić do innej zabawy. Ten jednak ani się ruszył, siedział cichutko nad brzegiem i czekał spokojnie, to też raz po raz rybkę w przygotowane wiadro z wodą wpuszczał i matce w podarunku przynosił. Nad rzeczką krążyły w powietrzu roje komarów, które niemało dzieciom dokuczały. Marynia, skoro ją komar ukłuł, natychmiast w ukłute miejsce drapała się co siły, skutkiem czego miała nogi, ręce, szyję pokryte krwawemi bliznami. To naturalnie wcale nie powstrzymywało komarów, a ich ukąszenia były tem dotkliwsze, gdy trafiały na nacięcia skóry.

Jaś spokojniej ból znosił i dla tego ślady ukąszeń szybko znikały; może też dla tego mniej go kosztowało siedzieć nad rzeczką i zabawiać się wędką lub inną rozrywką. Dzieci zajęły sobie kawałek ziemi pod ogródki. Skopały go starannie, wydeptały ścieżki między zagonami, a potem pozasiewały na nich groszek pachnący, rezedę i inne kwiatki, a na drugich, stanowiących ogród warzywny, rzodkiewkę i sałatę i cieszyły się zawczasu, że matce przynosić będą bukiety i przysmaki z własnego ogrodu. Marynia zwłaszcza tak się z tego cieszyła, że wprost doczekać się nie mogla tej pożądanej chwili. Co rano prosto z łóżka biegla do swego ogrodu, rozgrzebywala ziemię na grządkach i oglądała zasiane ziarno, chcąc się przekonać, czy wypuściło kiełki. Przykrzyło jej się czekać i nieustannie chciała roślinom do rozwinięcia się dopomagać. Kiedy zaś już listeczki ukazały się ponad ziemią, a potem wypuściły łodygi, gniewała się, że za wolno rosną i to je podlewała, choć ziemia była dość wilgotna, to przesadzała z miejsca na miejsce, sądząc, że im cień przeszkadza, lub nie dość żyzny grunt mają i w ostatecznym następstwie tych nieustannych zabiegów miała znacznie mniej kwiatków, rzodkiewek i sałaty, niż Jaś, który wprawdzie także codziennie parę razy do ogródka zaglądał, ale nie robił w nim nic więcej nad to, co potrzeba: chwasty, gdy się pokazaly, wyrywal, w razie suszy rośliny podlał i spokojnie czekał, aż urosną.

Toż samo było, gdy szli do lasu na grzyby.

Marynia, widząc pełno muchomorów, sterczących zdaleka, oraz inne bedłki, do jadalnych łudząco podobne, a jednak nieużyteczne, a daremnie szukając borowika, koźlaka lub rydza, mściła się na napotkanych po drodze, roztrącała je nogą i nieustannie skarżyła się, że nic znaleźć nie może. Nieraz też przypadkiem wojując z trującemi grzybami rozdeptała borowika, rosnącego tuż obok, albo po prostu przeoczyła go, a Jaś, idąc trop w trop za nią, we mchu i trawie zbierał mnóstwo ślicznych grzybów i śmiał się z nieuwagi swej siostry, którą to jeszcze do większej irytacji doprowadzało. Czasem ochłonąwszy z gniewu, prosiła brata, żeby ją grzybów szukać nauczył, a wtedy on jej objaśniał swój sposób postępowania; chodził wolno, oczu od ziemi nie odrywał, a gdy napotkał miejsce, w którem grzyby rosły, choćby i nie jadalne, przeszukiwał starannie wszystkie kępki mchu, wrzosu, trawy, obchodził podnóża drzew i w końcu nauczył się odróżniać te miejsca, w których się stale grzyby pojawiać muszą. O ile najprzód wiele czasu tracił napróżno, o tyle później wprawił się tak dalece, że nigdy z próżnemi rękami nie wracał. Taż sama różnica uderzała u nich i przy odrabianiu lekcyi. Jeżeli Marynia choć jedną popełniła w zadaniu omyłkę, zaraz zaczynała biadać, że jest za trudne, że ona go nigdy w życiu nie zrobi, wzywała pomocy matki lub brata, płakała, wyrywała kartkę jedną po drugiej i robiła coraz gorzej. Albo odrazu—albo wcale; to zdawało się być jej zasadą. Jasiowi lekcye trochę trudniej przychodziły, ale nie zrażał się do nich żadną przeszkodą. Owszem, popełniwszy błąd, sam szukał sposobu naprawienia go i nie lubił, by mu pomagano. Nic go nie było w stanie oderwać od lekcyi, podczas gdy Marynia w ciągu swych zajęć nieustannie jeszcze toczyła wojny to z młodszemi dziećmi, że się bawią lub rozmawiają zbyt głośno, to z muchami, co jej siadały na zeszycie, to z kanarkiem, który ośmielał się śpiewać i przeszkadzać jej w robocie. To też choć Jaś pracował wolniej, ale mniej kreślił, mniej kart wydzierał i zawsze wcześniej załatwił się z lekcyami, niż Marynia.

Powiedźcie mi teraz, moje dzieci, co stanowiło różnicę między dziećmi? Jak nazwiecie wadę Maryni, jak nazwiecie zaletę Jasia? Marynia była niecierpliwą, Jaś był cierpliwy.

Na czem więc polega cierpliwość? Na tem, żeby spokojnie znosić ból, cierpienie, przykrości różnego rodzaju.

Czy słyszeliście historyę biblijnego patryarchy Hioba? Był on człowiekiem bardzo szczęśliwym i bogatym. Miał liczne, zdrowe potomstwo, które mu przynosiło pociechę, trzody owiec, bydła, wielbłądów. (Było to w czasach pasterskich, gdy one stanowiły całe bogactwo ludzi). Wreszcie dużo sług, pilnujących jego dobytku. Naraz jedna klęska po drugiej zaczęły spadać na niego. Najprzód ludzie obcego plemienia napadli na jego trzody, uprowadzili bydło i pozabijali pasterzy. Później

zerwała się burza i zawaliła dach budynku, w którym jego synowie i córki zabawiali się i ucztowali, i zabiła mu wszystkie dzieci. Hiob zniósł te ciosy spokojnie i rzekł: „Przyszedłem na świat nagi, nie posiadałem niczego, umierając niczego ze sobą do grobu nie wezmę“. W końcu spadła na niego ciężka choroba. Leżał okryty bolesnemi wrzodami i musiał przebywać zdala od ludzi, w osamotnieniu zupełnem, aby zarazy nie szerzyć. I wtedy jeszcze Hiob nie skarżył się i nie złorzeczył. „Jeżeli radowałem się szczęściem mojem, kosztowałem dostatku i uciech, słuszną jest rzeczą, bym teraz znosił niedolę i cierpienia“. Cierpliwość Hioba doczekała się nagrody; odzyskał zdrowie, a później i utracony dobrobyt i spokój. Jeżeli nam dokuczają drobne bóle, cierpienia, dolegliwości i mamy skłonność skarżyć się i narzekać, pomyślmy o tysiącznych cierpieniach, chorobach, boleściach, dotykających naszych bliźnich, a wstydzić się zaczniemy naszego niedołęztwa. Jeżeli drudzy znoszą męki, czyż my nie bylibyśmy w stanie znieść bólu? Jeżeli innych gnębi nieszczęście lub boleść, czyż my nie zdobędziemy się na to, by spokojnie przetrwać przykrości? Niecierpliwość jest najczęściej słabością i niedołęztwem. Czy byliście kiedy w szpitalu, np. w oddziale chirurgicznym, gdzie leżą chorzy po dokonanych operacjach? Tam są przeważnie ludzie, których organizm jest na wewnątrz zdrów, którzy mają zupełną przytomność umysłu, a zatem i świadomość swoich cierpień, czego nie

można powiedzieć o różnych chorych gorączkowych. Jedni z nich jęczą w głos, inni leżą cicho, a tylko na twarzach ich znać wyraz cierpienia. Jedni nieustannie mówią i myślą o swej chorobie, inni starają się o niej zapomnieć i umysł czem innem zająć; interesują się towarzyszami niedoli, słuchają ich zwierzeń, w miarę powrotu do zdrowia, chwytają się jakiejkolwiek roboty, czytają i cierpliwie czekają chwili zupełnego wyzdrowienia. Zdaje wam się może, że cierpliwość okazują tylko mniej ciężko chorzy, że ból ich jest mniejszy, więc go lepiej znoszą. Zapewne i tak nieraz bywa, ale bywa i odwrotnie: ci, którzy są cierpliwsi, mniej doznają bólu, bo go nie zwiększają sami, tak jak nasza znajoma dziewczynka, Marynia, która ból po ukłuciu komara zwiększała rozdrapywaniem skóry. Im więcej skupiamy uwagę na naszem cierpieniu, tem bardziej nam ono dokucza. Każdemu z was nieraz zdawało się zapewne, że ból, który wydawał się bardzo dokuczliwy, ustępował, albo ustępował pozornie, gdy coś tak silnie wzruszyło lub tak pochłonęło uwagę, że zapominaliście o tem, co wam dolegało. Jeżeli to opanowanie bólu zdarza się czasem przypadkiem, czemużby się nie miało dążyć do niego umyślnie przez zmuszanie się do myślenia o innych rzeczach, a zapominania o cierpieniu. I w naszych czasach bywają ludzie tak dręczeni smutkami i ciosami, jak ów patryarcha Hiob, i oni nieraz wprawiają nas w zdumienie spokojem i cierpliwością, z jaką znoszą swoje utrapie-

nie, nie chcąc ich powiększać ciągłemi żalami i skargami. „Nie dość, że mi źle, jeszcze się mam trapić“, odpowiedziała raz osoba, której pogodę umysłu wśród ciągłych przeciwności podziwiali znajomi

Często pobudką cierpliwości jest szlachetna chęć oszczędzenia cierpień drugim. Zdarza się widzieć w kochających rodzinach, jak człowiek chorobą złożony uspokaja swych najbliższych, że mu nic nie dolega, że jego cierpienie jest zupełnie znośne; ci zaś, czuwając nad nim w dzień i w nocy i upadając ze znużenia, zapewniają go, że bynajmniej potrzeby odpoczynku nie czują, a chory najmniejszego im nie przyczynia kłopotu. Panują nawet nad swym niepokojem lub rozpaczą, byleby tylko przed nim nie zdradzić, choćby płaczem lub wyrazem twarzy, jak wielkie niebezpieczeństwo mu grozi.

Ludzie jedni dlą drugich bywają nieraz przyczyną rozdrażnienia i wzajemnie swą cierpliwość wystawiają na próbę. Wiemy, co się to dzieje w tych rodzinach, gdzie nikt nie zdoła się na cierpliwość zdobyć i spokojnie znosić usterek lub złych humorów swego otoczenia. Czasem rodziny bardzo kochające się, lecz z niecierpliwych osób złożone zatruwają sobie życie, podczas gdy cierpliwość i spokój rozbrajają i łagodzą nawet bardzo przykre w pożyciu, gwałtowne i kłótliwe charaktery.

O pewnym mędrcu starożytnym, Sokratesie, powiadają, że miał niezmiernie kłótliwą żonę. Imię jej było Ksantypa i od owego czasu imieniem tem

przezywają zwykle żony dokuczające mężom swą porywczością i upodobaniem do kłótni. Sokrates był nad wyraz cierpliwy i łagodny, gdyż zawsze ćwiczył się w panowaniu nad sobą i mężnem znoszeniu przeciwności. Nigdy też nie odpowiadał żonie łajaniem na łajanie, ani grubiaństwem na grubiaństwo. Pewnego razu, gdy Ksantypa zrobiła — jak to mówią — piekło w domu i wprost zmęczyła swego męża istną nawałnicą krzyków, przekleństw, pogróżek, które on znosił w milczeniu, Sokrates, chcąc ochłonąć, wyszedł z domu i przechodził koło okna swego mieszkania, miła małżonka wylała mu na głowę garnek pomyj. Patrzał na to jeden ze znajomych filozofa i wyraził zdziwienie, iż on to tak spokojnie przyjmuje, a Sokrates uśmiechnął się i rzekł: „Alboż nie wiesz, że po burzy zwykle przychodzi ulewa?“ Mówią też o pewnej bogobojnej i zacnej kobiecie, że chcąc pohamować swą skłonność do kłótni i nauczyć się cierpliwości, ile razy mąż jej lub ktokolwiek dokuczać jej i drażnić ją zaczął, brała wodę w usta, aby się powstrzymać od odpowiedzi, i nieraz swem milczeniem rozbrajała gniew otoczenia.

Cierpliwość jest niezbędna do wykonania każdej długiej i zmudnej roboty, oraz wtedy, gdy zmuszeni jesteśmy długo czekać na skutek naszych zabiegów, na spełnienie naszych pragnień, nadziei, otrzymanych przyrzeczeń.

„Nie odrazu Kraków zbudowano“ mówimy wtedy, gdy chcemy siebie lub drugich zachęcić do

cierpliwości i wytrwania. Przysłowie to jest bardzo trafne; kto widział Kraków pełen prześlicznych starożytnych budowli i kościołów, gdzie za każdym krokiem oczy rozkoszować się mogą widokiem starożytnych gmachów, z których każdy jest nietylko rzeczą piękną ale i drogą pamiatką, zrozumie, że takie miasto nie może powstać odrazu, jak na obstalunek, lecz rośnie zwolna w ciągu wieków niby las. Największy z kościołów na świecie, katedrę Ś-go Piotra w Rzymie budowano przez 200 lat; sławna katedra Kolońska, arcydzieło sztuki budowniczej, dla której oglądania zjeżdżają się podróżni z całego świata, dopiero przed kilkunasty laty została ostatecznie ukończona, choć jej budowlę rozpoczęto kilkaset lat temu.

Ludzie uczeni nieraz życie całe poświęcali na napisanie jednego dzieła naukowego, które stanowiło ich wyłączną zasługę i na całe wieki zapisało ich w pamięci ludzkiej.

Ileż cierpliwości wymaga wychowanie jednego człowieka! Jakże długo rodzice czekać muszą, zanim maleńkie niemowlę, które pielęgnują, karmią, kąpią — wyrośnie na człowiek silnego, zdrowego, rozumnego, zanim się przekonają, że ich zabiegi i starania nie poszły na marne, że ich nauki, przykłady, poświęcenia stały się rzeczywiście dla ukochanego dziecka pomocą do dobrego pokierowania swym życiem, do uczciwego spełnienia swych ludzkich obowiązków.

Nasza Marynia niecierpliwiła się, kiedy zasiany groszek lub rezeda nie dość szybko rozwijały się i rosły, choć tu chodziło tylko o dnie i tygodnie, a jakże często się zdarza, że niezmordowana praca, trudy i wysiłki całych pokoleń ludzi na pozór żadnego nie przynoszą pożytku i dopiero po wielu latach okazuje się z nich plon oczekiwany. Najczęściej tego doświadczają ci, co dążą do naprawy zwyczajów, praw, pojęć i skłonności ludzkich. Wieki całe trwało niewolnictwo, to jest traktowanie jednych ludzi przez drugich, jako ich rzeczy i własności, choć już przed wielu set laty byli tacy, co głośno upominali się o zniesienie tego okrutnego prawa zniżającego pewną klasę ludzi do znaczenia bydła roboczego, a dopiero przed kilkudziesięciu laty istotnie uznano powszechnie jako rzecz występną i zdrożną kupowanie, sprzedawanie i posiadanie ludzi na własność, a i wtedy narody oświecone musiały mniej oświeconym po prostu narzucić swą wolę i zmusić do wyzwolenia niewolników, przyczem nie obeszło się bez krwawej walki.

Dzisiaj ci co dążą do wytępienia pijaństwa, albo do zupełnego usunięcia wojen, wiedzą bardzo dobrze, że długo będą musieli czekać na pomyślny skutek swych zabiegów, że może dopiero ich dzieci i wnuki dożyją zupełnego zaniknięcia szkodliwego nałogu lub cieszyć się będą trwałym powszechnym pokojem, a jednak to ich nie zraża.

Czy jednak dobrze robili by, gdyby czekali z założonemi rękami, aż pijaństwo samo zniknie,

a wojny same ustaną? Czy tak robili ci, co wierzyli, że niewolnictwo powinno być zniesione i kiedyś zniesione będzie? Nie. Nie każda cierpliwość jest chwalebna i nie zawsze należy być cierpliwym.

Cóżbyście powiedzieli o człowieku, któryby widział, jak mu się na ręku naprzykład zbiera wrzód, nie goi się, lecz ciągle powiększa, rozszerza; rękę całą pokrywa i grozi kalectwem lub śmiercią, i któryby cierpliwie znosił ból i cierpliwie czekał smutnego końca tej choroby? Zapewne ta dziwna cierpliwość bardzoby was gniewała i niepokoiła; nalegalibyście, żeby czemprędzej szedł do doktora; póki jeszcze chorobę wyleczyć można, zdrowie i życie uratować.

Co mówilibyście o matce, którąby cierpliwie i spokojnie znosiła grymasy, wybryki, grubiaństwo, kłamstwo, lenistwo lub złośliwość swego dziecka i czekała aż się samo albo poprawi, albo tak daleko w złem zabrnie, że się stanie plagą i utrapieniem wszystkich.

Co powiedzielibyście o człowieku, któryby cierpliwie i spokojnie patrzał na cudzą lub własną krzywdę, ulegał złym ludziom, bez oporu znosił ucisk i prześladowanie, pozwalał dręczyć i gnębić swoje dzieci, swych blizkich, swoich rodaków, wydzierać sobie wszyskie prawa, odbierać wolność — a czekał aż się to skończy samo, nic nie robiąc w tym celu, żeby się skończyło?

Przyznacie przecież, że taka cierpliwość jest zgubna i zdrożna, — że ludzie cierpliwi w ten sposób są po prostu niedołęgami, którzy wprawdzie nie ze złej woli, lecz z głupoty lub wogóle z braku woli stają się szkodliwi.

Ani choroby, ani krzywdy i niesprawiedliwości nie należy spokojnie znosić lecz z niemi walczyć.

Ból ma dla nas to znaczenie, że ostrzega przed niebezpieczeństwem zagrażającem naszemu zdrowiu lub życiu. Chcąc się go pozbyć lub go uniknąć człowiek się leczy i zapobiega chorobie, wynajduje różne sposoby usunięcia jej w samym zarodku lnb zatamowania jej, żeby się nie szerzyła przenosząc się z osoby na osobę. Dawniej ospa tyle zabierała ofiar, że ludzie, miasta i kraje pustoszały. Na szczęście ludzie nie znosili cierpliwie tych plag ale wynaleźli szczepienie ospy, i odtąd choroba ta już znacznie rzadziej się pojawia, a w niektórych krajach znikła zupełnie. Gdy się zrobiło wszystko co można dla usunięcia choroby lub bólu, trzeba do innych leków dodać jeszcze cierpliwość, która łagodzi cierpienie i zmniejsza jego przykre dla drugich następstwa.

Tak samo jak z chorobą jest i z każdem innem złem. Matka, gdy w dziecku dostrzega wady, winna z niemi walczyć i im zapobiegać nie czekając, aż z nich samo wyrośnie, bo może właśnie w nie wrosnąć. Jednakże nie szczędząc mu ani napomnień, ani przykładu i zachęty do dobrego,

pracując nad wykorzenieniem jego złych popędów, jest z góry przygotowana, że dziecko nie odrazu stanie się takiem, jakiem je widzieć pragnie, i czyniąc, co do niej należy, cierpliwie czeka skutków swego postępowania.

Gdyby ci, co chcą wytępić pijaństwo, lub usunąć krzywdy i niesprawiedliwości przestawali na samem chceniu, toby stąd nic nikomu nie przyszło; złe szerzyłoby się bez przeszkody i wzmagało z każdym rokiem. Cierpliwość ludzi dobrych jest tylko pomocą do złego dla ludzi złych, jeżeli jest bezczynną, leniwą i słabą.

Nie należy wprawdzie na złość ludzką odpowiadać złością, na krzywdę krzywdą, na obmowę obmową, bo przez to stawiamy się na równi ze złym człowiekiem, zniżamy się do niego. Należy jednak przeszkadzać mu do spełnienia złego czynu, hamować, upominać się o swoje prawa, wyświetlać kłamstwo, podstęp i złośliwość, czynić to wszystko, co ludzi upamiętać i poprawić może. Nie tylko dla siebie samych i innych pokrzywdzonych, ale także dla tego, który krzywdzi, mamy obowiązek bronienia się i przeszkadzania złemu.

„Daruję ci chętnie, że mnie to uczyniłeś — mówi mędrzec Zaratustra do przyjaciela, który przeciw niemu zawinił i zawiódł go, ale tego ci nie mogę przebaczyć, żeś to sobie uczynił“.

POGADANKA SZÓSTA.

Wytrwałość.

Przeszło dwa tysiące lat temu żył w mieście nadmorskiem, Atenach (mówiłam wam już dawniej o niem) młodzieniec imieniem Demostenes. Był on sierotą od wczesnego dzieciństwa. Ojciec umierając ustanowił opiekę nad nim i pozostawionym dla niego majątkiem, lecz opiekunowie pieniądze przeznaczone na jego wychowanie obracali na własny użytek, a o chłopię nie dbali. To też Demostenes, gdy dorósł, sam ocenił, że umie bardzo mało, że zaś miał dużo ambicyi zaczął o własnych siłach pracować nad sobą. Przychodziło mu to z trudnością. Pozbawiony troskliwej opieki rodziców, zaniedbany pod każdym względem, był wątłego zdrowia, jąkał się, nie wymawiał litery „r“ i robił różne miny, takie jakie często widujemy u dzieci, a matki napominać je muszą, ażeby je odzwyczaić. Mimo tö wszystko Demostenes chciał zostać sławnym mówcą. Znając obyczaje swego narodu, gdzie obywatele zajmowali się rządami kraju i postanawiali o jego losach, czuł zapewne, że gdy zdobędzie umiejętność przemawiania i przekonywania, może nieraz zagrzewać ich do pięknych czynów, nakłaniać do sprawiedliwości, a zatem służyć swej ojczyźnie. Kiedy pierwszy raz przemówił publicznie, wyśmia-

no go. Nikt nie wiedział, o co mu chodziło, widziano tylko jego miny i słyszano jakieś niewyraźne bełkotanie. Kto inny może byłby się od pierwszej próby zraził, dał za wygraną i wziął się do czego innego. Ale Demostenes nie tak prędko zmieniał postanowienia. „Jeszcze mnie będziecie słuchali!“ powiedział sobie w duszy i zaczął z całym wysiłkiem pracować nad swoją wymową. Aby nie mieć nawet pokusy odrywania się od pracy, ogolił sobie pół głowy i wyglądał tak, że nie mógł się między ludźmi pokazywać. „Zanim mi włosy odrosną, muszę już umieć mówić“, rzekł sam do siebie. Zamknął się w piwnicy swego domu, gdzie go nikt nie mógł słyszeć i tam ćwiczył się w głośnem i wyraźnem mówieniu. Kiedy przemawiał, stał przed lustrem, aby widzieć miny, jakie robił i uczyć się panowania nad swoim wyrazem twarzy. Ponieważ miał zwyczaj podnoszenia jednego ramienia, zawiesił sobie nad niem ostry miecz, który go ranił, ile razy ramieniem ruszył. Chcąc się oduczyć jąkania, kładł do ust kamyki i silił się na to, by mimo nich mówić wyraźnie. Wreszcie ażeby swój głos uczynić tak donośnym, by módz się dać słyszeć pod gołem niebem i panować nad gwarnym tłumem, szedł nad brzeg wzburzonego morza i usiłował zagłuszyć huk bałwanów. Po długiej gimnastyce tego rodzaju doszedł do takiej doskonałości, że w całej Grecyi nie było mówcy, któryby się mógł z nim mierzyć i rzeczywiście w bardzo ważnych chwilach udawało mu się rodaków przekony-

wać, nakłaniać do tego, co uznawał za niezbędne dla dobra swego kraju. Imię jego stało się głośnem za życia, a sława jego przetrwała aż do naszych czasów.

Bardzo często mówią ludzie, że kto się ma jakim talentem odznaczyć, musi się z nim urodzić, a jeżeli ktoś wprawia ich w podziw bądź to piękną wymową, bądź też muzyką, śpiewem, zdolnością układania pięknych wierszy, malowania cudnych obrazów, wreszcie swą uczonością lub biegłością w jakiemś rzemiośle, zazdroszczą mu tego daru przekonani, że mu równie łatwo przyszło zdobyć swą umiejętność, jak z niej korzystać.

Ja również myślę, że nie każdy może się równie wydoskonalić w każdej umiejętności, że jedni mają zdolność do pewnej pracy, drudzy do innej, a nawet Demostenes, kiedy tak bardzo pragnął być sławnym mówcą, musiał czuć, że pomimo wad wymowy, ruchów i głosu ma do tego pewne uzdolnienie. Myślę jednak także, że nawet ludzie zdolni w początkach każdej pracy spotykają duże trudności i tylko w takim razie mogą swój talent udoskonalić i spożytkować, jeżeli się temi trudnościami nie zrażają lecz je przełamują. Czy pamiętacie, ile wam trudności sprawiało z początku czytanie i pisanie? Jak to wolno, wolniutko, stękając i namyślając się składaliście z liter wyrazy, jak was ręka nie chciała słuchać, kiedy mieliście je na papierze skreślić, jakie krzywe było pismo wasze i jak wam trudno było wyraz od wyrazu odpo-

wiednią przerwą oddzielić? Każdy z początku tych samych trudności doznawał. Nawet ci co później całe dnie na pisaniu trawią, na skreślenie listu nie potrzebują więcej niż kilku minut czasu, a tom książki odczytują w kilka godzin, kiedyś ślęczeli nad elementarzem i z mozołem odkrywali znaczenie czarnych znaków, jakie im pokazywano. Jeszcze dawniej nie umieliście ani chodzić ani mówić. Zanim nauczyliście się gonić, biegać, przeskakiwać przez rowy i płoty — był przecież taki czas, kiedy za każdym krokiem przewracaliście się na podłogę, a przed progiem trzeba było się zatrzymywać, bo nie wiedzieliście, jak przejść przez tę maleńką przeszkodę. Zanim wasz język tak się wyćwiczył, że nieomal cały dzień jest w ruchu i z niepowstrzymaną szybkością wyrzuca całe szeregi zdań w rozmowach, opowiadaniach, sprzeczkach, były czasy, gdy trzeba było się bardzo wysilać, ażeby wymówić zrozumiały dla starszych wyraz, a jeszcze przytem pomagać sobie ruchami rąk, pokazywać palcem, ciągnąć za suknie, aby się rodzice domyślili, czego chcecie i że czegoś chcecie. Toż samo z muzyką, tańcem, śpiewem, wiosłowaniem, pływaniem, jazdą na rowerze, z nauką obcego języka i z każdą inną umiejętnością. Z początku wszystko jest trudne, więc kogo przeszkody zrażają, ten nigdy niczego się nauczyć, do niczego dojść nie może.

Jestem głęboko przekonana, że każde z was chciałoby być sławnym człowiekiem: albo wielkim

uczonym, albo wielkim malarzem, albo znakomitym budowniczym, świetnym mówcą, słowem, czemś niepospolitem. Przysłowie mówi: „chcieć to módz“, a jednak nie wiem dziś jeszcze, czy choć jedno z was odznaczy się jakąś nadzwyczajną umiejętnością, a to dla tego, że nie wiem, czy będziecie umieli chcieć tak jak Demostenes, to jest chcieć przełamać wszystkie trudności, jakie wam w drodze staną, znieść wszystkie mozoły, usilnej i wytrwałej pracy. Przeważnie ludzie pragną osiągnąć wielkie dobro darmo, bez ofiar i trudów, tymczasem na tej drodze nie zdobywa się nic takiego, co osiągnąć warto. Kiedy czytamy opowiadanie z życia wielkich ludzi, to często zdumienie nas ogarnia, ile człowiek może dokonać w nadzwyczaj trudnych warunkach.

Oto np. sławny astronom, Kepler, uczony, który obliczył ruchy gwiazd, był synem biednego kaprala. W dzieciństwie bywał całkiem pozbawiony rodzicielskiej opieki, kiedy ojciec jego wyruszył na wojnę, a matka towarzyszyła mu jako markietanka, to jest nosiła żywność i napój dla żołnierzy. Gdy wróciła, zastała dziecko ciężko chore na ospę i ledwie przy wielkiej troskliwości zdołała mu życie uratować, ale zdrowie jego było już zawsze słabe. Po śmierci ojca, który zginął na wojnie, rodzina była w największej nędzy i Jan musiał pasać świnie. Do szkoły chodzić nie mógł regularnie, bo bo mu ciągle choroby przeszkadzały. Mimo to chłopak rwał się do nauki, to też gdy był już star-

szy, dziadek jego pożałował zdolności wnuka i oddał go do szkoły klasztornej, gdzie młody Kepler tak szybkie robił postępy, że już w 22-gim roku życia został nauczycielem rachunków.

Kiedy w ośm lat później cesarz mianował go swoim nadwornym matematykiem, zdawać się mogło, że życie jego już gładko się potoczy, tymczasem nędza nie opuszczała go ani na chwilę, bo cesarz nie płacił mu pensyi. Przez 17 lat pracował nad swem sławnem dziełem o ruchach gwiazd, a wśród tej pracy płacz dzieci domagających się chleba zatruwał mu życie.

Ludzie ówcześni nie umieli zresztą jeszcze ocenić zasług ani nauki Keplera, zarzucali mu że jego książka sprzeciwia się religii i prześladowali go na wszystkie sposoby; postarali się, by go pozbawiono jego posady i pensyi i wygnano z miasta. Jak straszna była ciemnota ówczesna świadczy, że matkę Keplera oskarżano o czary i chciano wydać na męki, na tortury. Ledwie zdołał ją kochający syn uratować. Ze zmartwień i ciężkiej pracy umarł zostawiając wdowę i pięcioro dzieci w największej nędzy.

Po jego śmierci, gdy już ciało jego w proch się rozsypało, a późniejsi ludzie dzięki jego dziełom i pracy innych uczonych umysły swe oświecili, świat uczcił w nim wielkie naukowe zasługi i dzielny charakter, którego żadne przeciwności z drogi obowiązku i prawdy zwrócić nie zdołały.

Podobnie ciężkie życie miał w młodych latach

inny astronom, Francuz, Walenty Duwal. Ojciec odumarł go, gdy był jeszcze dzieckiem, a matka oddała go w służbę do paszenia indyków. Możecie sobie wyobrazić, że się chłopiec nudził i nie dziwcie się, że szukał sposobów rozerwania się. Chcąc się przekonać, czy czerwony kolor rzeczywiście gniewa indyki, zawiązał jednemu z nich chustkę na szyi, co rozwściekliło ptaka i doprowadziło go do śmierci. Za ten figiel wygnano Walentego ze służby. Nie chcąc być ciężarem matce ruszył w świat szukać innej pracy. Wędrował nieborak od chaty do chaty ofiarując swą służbę, ale nigdzie go przyjąć nie chciano i groziła mu śmierć z głodu lub z zimna, bo właśnie straszne panowały mrozy. Wśród tego rozchorował się. Gdy ból głowy i gorączka tak go osłabiły, że już się nie mógł trzymać na nogach, jakiś poczciwy chłop wpuścił go do swej owczarni i pozwolił mu się tam rozgrzać i przespać. Nazajutrz zastał go tam całego czerwonego i pokrytego bąblami. Poznał że chłopak ma ospę, że zaś sam był bardzo biedny i niczem mu nie mógł pomódz, więc był pewny, że umrze. Obwinął go płótnem, a potem dla ciepła suchym gnojem go nakrył, i tak zostawił od, czasu do czasu zaglądając tylko, by się przekonać, czy jeszcze żyje. Gdy mimo wszystko zaczął przychodzić do zdrowia, dostarczał mu trochę pożywienia, to jest wodnistej zupy i czarnego chleba tak zmarzniętego, że trzeba go było rąbać siekierą, ale i to było zbyt wielką ofiarą, ze strony biednego chłopka

i wkrótce Duwal musiał szukać sobie innego przytułku. Prawie cudem uratowany od śmierci wlókł dalej swoje ciężkie życie. Przez dwa lata służył u owczarza, a potem został przyjęty do klasztoru, gdzie krowy pasał. Tam dopiero jeden z zakonników nauczył go pisać, ale Walenty nie chciał się naprzykrzać swemu nauczycielowi i jak mógł uczył się sam, a gdy raz wpadła mu w rękę książka rachunkowa, zaczął ją pilnie badać i nauczył się czterech działań. To było pierwszym początkiem całej ogromnej jego uczoności. Rozmiłował się w rachunkach i przy paszeniu krów z zapałem oddawał się nauce. Całe noce przepędzał w lesie przyglądając się gwiazdom z wysokiego dębu, na który się wdrapywał. Raz wysłano go na jarmark; tam wśród różnych obrazków na straganie dojrzał mapę nieba i kilka map różnych części ziemi. Wszystkie pieniądze, jakie posiadał, wydał na zakupienie tych skarbów i szczęśliwy wrócił z niemi do klasztoru i do swoich krów. Teraz już praca szła łatwiej; miał przynajmniej jakąś pomoc i wskazówkę przy dalszej nauce. Odszukiwał gwiazdy według mapy i w krótkim czasie poznał ich nazwy, położenie, wielkość. Potem zainteresowała go ziemia. Wszystkie zarobione pieniądze przeznaczał na kupowanie książek. Czytał opisy różnych krajów ziemi, czytał życiorysy wielkich ludzi, historyę dawnych ludów, słowem uczył się tak pilnie, choć sam i bez niczyich wyjaśnień, że rzadko które dziecko w szkole robi tak wielkie i szybkie postępy jak

pastuszek Duwal pasający klasztorne bydło. Im więcej go zajmowała nauka, tem więcej zaniedbywał swoje krowy, aż jeden zakonnik zagroził mu, że mu wszystkie książki spali. To rozgniewało Walentego; wypędził pogrzebaczem mnicha i zamknął się na klucz w swej celi, grożąc, że póty z niej nie wyjdzie, póki klasztor nie zobowiąże się, że mu da co dzień dwie godziny wolne na naukę, za co on zobowiązuje się służyć darmo przez lat dziesięć tylko za stół i ubranie. Jak widzimy, były to tak małe wymagania, że zakonnicy musieli się na nie zgodzić, robili bowiem wcale dobry interes. Dopiero po wielu latach takiej nauki samotnej pod gołem niebem, zwrócono uwagę na uczoność biednego pastuszka i książe pewien zajął się jego losem i dalszem wykształceniem. Gdy już doszedł do wysokiego stanowiska, odwiedził swą rodzinną wioskę i zbudował w niej szkołę dla wiejskich dzieci, zapewne chcąc biednej dziatwie oszczędzić tych trudności, jakie sam przełamywać musiał dla zdobycia upragnionej wiedzy.

Znamy wiele dzieci chodzących do szkoły, które się skarżą, że nauka za trudna, że nauczyciel dużo wymaga, a mało objaśnia, że im braknie spokoju albo odpowiedniego miejsca do nauki i dla tych wszystkich przyczyn małe robią postępy. Gdyby poznały życie takiego Duwala, który zaledwie raz na kilka lat otrzymał od kogoś wykształconego wyjaśnienie lub wskazówkę, a wszystkiego począwszy od czterech działań musiał się uczyć

sam, może mniej skarżyłby się na przeszkody w pracy.

Trzeba przyznać, że zajęcie Walentego Duwala było jeszcze mało męczące, dawało mu wiele swobody do rozmyślań i spostrzeżeń, a wreszcie pozostawiało go zawsze sam na sam z niebem gwiaździstem, z przyrodą, z tem co jest najciekawszą księgą, źródłem nauki.

Byli jednak i tacy, co nawet z tych ułatwjeń nie korzystali, a mimo to doszli do wysokiego wykształcenia i zdołali wielkich rzeczy dokonać. O jednym z nich wam opowiem.

Było to nie więcej niż przed kilkudziesięciu laty w Ameryce, kiedy jeszcze utrzymywało się tam niewolnictwo. Właściciele ziemi uprawiający bawełnę, tytoń, ryż i inne rośliny użyteczne, kupowali sobie czarnych sprowadzanych z za morza murzynów i używali ich do pracy w polu. Bieda wśród tych murzynów była naturalnie wielka, bo przecież nic nie mogli posiadać na własność; płacono za nich, gdy ich kupowano, ale im nic nie dawano za ich pracę prócz takiego utrzymania, jakie właściciel dla nich przeznaczył. Można ich było odprzedawać innemu właścicielowi nie bacząc na to, że rozdzielano męża z żoną lub rodziców z dziećmi, od jednej pracy odrywać, do drugiej przeznaczać nie pytając o ich zgodę, słowem, tak z niemi postępować jak z końmi lub wołami roboczemi. Od dobrej woli właściciela, czy jak tam nazywano plantatora, zależało czy jego niewolnicy mieli życie i pracę względnie lekką, czy też byli za-

męczani, głodzeni, bici i pogardzeni. Na takiej plantacyi przyszedł na świat chłopczyk, zwany z dzieciństwa Booker, który później obrał sobie nazwisko Waszyngton i pod niem zasłynął. Był on murzynem, synem niewolnicy, pełniącej obowiązki kucharki czeladniej, jak powiedzianoby u nas, gotowała bowiem strawę dla towarzyszy niewolników. Ojca swego nie znał; miał młodszego brata z którym od najwcześniejszego dzieciństwa łączyło go serdeczne przywiązanie. Wspominał później, jakiem utrapieniem było dla nich w dziecinnych latach wdziewanie świeżej koszuli konopnej, która stanowiła całe ich ubranie. Była ona tak twarda i szorstka, że nieznośnie drapała i raniła im skórę, póki w noszeniu nie zmiękła. Otóż Booker poświęcał się dla swego brata i zawsze odstępował mu przenoszoną koszulę, a sam nosił świeżą, póki była szorstka i boląca. Już wtedy w takiej drobnostce okazywał się więc zdolnym do poświęceń i znoszenia przeciwności. W owych latach kazano mu niekiedy nosić książki dzieci plantatora i odprowadzać je do szkoły. Zazdrościł im z całego s rca, że się uczyć mogą i odtąd marzeniem całego jego życia stało się zdobyć wykształcenie.

Gdy był jeszcze małym chłopcem, wybuchnęła krwawa wojna domowa, a po niej nastąpiło wyzwolenie murzynów. Niewolnicy stali się teraz wolnemi najemnikami, mogli się swobodnie przenosić z miejsca na miejsce i sami szukać sobie roboty. Mały Booker musiał już w dziecięcych latach pracą swą pomagać matce do utrzymania

siebie i rodzeństwa. Dostał w kopalni soli zajęcie bardzo ciężkie, męczące i pochłaniające nieomal cały dzień. Tylko późnym wieczorem mógł się czasem trochę uczyć, a ztąd nauka bez odpowiedniej pomocy szła mu dość ciężko. Chcąc zyskać trochę więcej czasu zgodził się na pracę nocną, a w dzień uczęszczał do szkoły. Trwało to czas jakiś, lecz choć Booker robił postępy; czuł, że tą drogą nie nauczy się tyle, ile pragnął i nie dopnie swego celu. Miał on bowiem dalej sięgające zamiary. Widział nędzę wyzwolonych murzynów, widział, że biała ludność tych krajów patrzała na nich z pogardą, a oni sami czują poniekąd swą niższość, gdyż długa niewola trzymała ich w stanie barbarzyństwa i ciemnoty. Zrozumiał, że tylko oświata i praca może jego ziomków z poniżenia podźwignąć i zapragnął życie całe poświęcić na podniesienie oświaty i obyczajów wśród ludzi swej rasy. Wyczytał, że założono gdzieś szkołę dla murzyńskiej młodzieży i postanowił sobie koniecznie do niej się dostać i tam się wykształcić. Pieniędzy na naukę nie miał; ciężkiej pracy matki wyzyskiwać nie chciał, puścił się więc w podróż zatrzymując się po drodze, gdy środków zabrakło i zarabiając różnemi posługami na dalszą wędrówkę. W pewnem mieście, gdzie właśnie musiał się zatrzymać i nająć do ciężkiej pracy, w braku pieniędzy na nocleg nocował pod mostkiem. W końcu dotarł nareszcie do owej szkoły, ale nie mając czem opłacić wpisu i kosztów utrzymania, musiał

się wypłacać swą pracą, sprzątać pokoje, myć okna, palić w piecu i t. p. Miał sobie to w życiu za zasadę, żeby wszystko co robi, robić jaknajlepiej i właśnie ta jego staranność i sumienność w służbie zjednała mu przychylność nauczycieli i zabezpieczała od utraty chleba i możności kształcenia się. Miał dużo więcej pracy niż inni uczniowie, musiał bowiem pracować równocześnie i nad nauką i na naukę. Przez wakacye przyjmował miejsce kelnera w restauracyi, żeby wypłacić się szkole z zaciągniętego długu i kupować niezbędne książki. Umiał tak doskonale korzystać z każdej chwili czasu, że pozostało mu jeszcze dziennie 20 minut wolnych, które poświęcał na ćwiczenie się w wymowie, co mu się bardzo przydało w późniejszem życiu.

Kiedy sam ukończył nauki, postanowił sobie pracować nad oświatą swych braci murzynów i założyć dla nich wzorową szkołę. Przyszło mu to jednak bardzo trudno, bo nie miał własnych funduszów, a mało ludzi majętnych tak się interesowało losem murzynów, by na ich wykształcenie łożyć. Z początku musiał się mieścić wraz z uczniami w nędznej szopie, którą własnemi rękami naprawiali, ażeby im się na głowę nie zwaliła. Zwolna bardzo wytrwałą pracą doszedł do tego, że postawił budynek szkolny, zaopatrzył go w niezbędne sprzęty, łóżka, ławki, tablice, wszystko zaś było dziełem rąk uczniów i jego własnych. Nieraz w ciągu tego czasu zaznali głodu, chłodu i wszelkiego niedo-

statku, ale szkoła stała się zarazem szkołą wytrwałości, zaradności i pracy. Dzielną pomocą była mu w tem zadaniu jego żona, również murzynka, osoba pełna odwagi i poświęcenia. Często pozostawiał jej cały kierunek szkoły, a sam jeździł po różnych miastach amerykańskich i bądź to przemawiając na publicznych zgromadzeniach, bądź też w rozmowie z prywatnemi osobami tłomaczył znaczenie i potrzebę oświaty dla czarnej ludności, zachęcał do ofiar na rzecz ufundowanej przez niego szkoły. Zakład jego z czasem zasłynął w świecie i ściągał z dalekich stron murzynów, którzy się na nauczycieli kształcili, by podobne szkoły w swojej okolicy zakładać. Nie dość na tem, Booker Waszyngton doczekał się tej pociechy, że pod wpływem jego i jego wychowańców ludność murzyńska doszła do oświaty, do dobrobytu, do wielkiego udoskonalenia w różnych rzemiosłach, a gdy przed kilku laty urządzono wystawę pracy murzynów, prezydent Stanów Zjednoczonych i liczne zastępy publiczności przybyłej ze wszystkich stron miały sposobność przekonać się, jak ogromnie wysoko posunęła się oświata, cywilizacya i przemysł tego wzgardzonego ludu. Była to najpiękniejsza chwila w życiu Bookera Waszyngtona, gdy po długich latach niezmordowanych trudów i zabiegów ujrzał taki wspaniały plon swej pracy i z uczuciem rozrzewnienia i dumy otwierał wystawę prac swych ziomków. Zdarzyło się, że było to właśnie w tem samem mieście, w którem niegdyś w braku dachu

nad głową nocował pod mostkiem miejskim, a dziś odbierał wyrazy uznania i hołdu, czci i wdzięczności powszechnej. Booker Waszyngton żyje jeszcze, pracuje w dalszym ciągu dla dobra szkoly i swoich rodaków i służy jako żywy wzór niezmordowanej pracy, żelaznej energii i wytrwałości niezachwianej.

POGADANKA SIÓDMA.

Odwaga.

Działo się to w Sparcie, w tym samym greckim kraju, gdzie tak hartownie młodzież wychowywano chcąc ją uzdolnić do ponoszenia trudów wojennych. Straszne niebezpieczeństwo grozilo Spartanom, gdyż ciągnęły przeciw nim nieprzejrzane zastępy wojska perskiego. Wolność narodu była zagrożona. Sparta była krajem górzystym poprzecinanym wąwozami. Najważniejsze znaczenie miał wąwóz zwany Termopylami, gdyż tamtędy prowadziła najdogodniejsza droga w głąb kraju. Tam też właśnie umieścił się niewielki oddział 300 spartańskich wojowników z bohaterskim Leonidasem na czele. Mieli oni zagrodzić drogę Persom, a braciom swoim ułatwić lepsze przygotowanie się do walki powstrzymując pochód nieprzyjacielskiego wojska. Trudno było marzyć o pokonaniu przeciwnika, gdyż przeciw garstce Spartan ciągnęły dziesiątki tysięcy Persów. Mężni ci młodzieńcy go-

towi byli zginąć spełniając swą powinnność względem ojczyzny. Wódz perski wezwał ich do poddania się dowodząc, że walka jest niemożliwa. „Jest nas tak wielu — oświadczyli jego posłowie — że strzały wypuszczone przez naszych łuczników słońce zaćmią". „Będziemy więc walczyli w cieniu", odparł Leonidas i odprawił posłów z niczem. Rozpoczęła się walka ale trwała bardzo długo, gdyż Spartanie mężnie się bronili, a rodzinne góry dobrze im znane, zasłaniały ich placówki. Dopiero gdy jakiś zdrajca wskazał Persom ścieżkę okrążającą wąwóz, zostali zewsząd otoczeni, lecz i wtedy walcząc do ostatniego tchu polegli wszyscy co do jednego w obronie swej ojczyzny.

W historyi różnych ludów, czy to w najdawniejszych czasach, czy też w nowszych czytać można o wielu podobnie bohaterskich czynach. Zawsze znajdowali się i znajdują ludzie pełni odwagi i poświęcenia, którzy gotowi są życie swoje oddać jeśli uważają, że ich powinność tego wymaga. W licznych wojnach, które różne narody prowadziły i prowadzą między sobą, z jednej i drugiej strony pada pod morderczą bronią wielu ludzi, którzy idą śmiało naprzód tam, gdzie ich śmierć czeka, a nie myślą, ani o ochronieniu swego życia, ani o ucieczce, którą poczytują za hańbę dla siebie, lecz dążą do zwycięstwa nad nieprzyjacielem w przekonaniu, że warto je opłacić przelewem krwi i ofiarą życia wielu ludzi.

Odwaga Leonidasa i jego towarzyszy przy-

wodzi na pamięć inny czyn bohaterski, który zdarzył się blisko 2000 lat później również w górskim kraju, Szwajcaryi. Szwajcarowie są narodem wolnym i w swej wolności rozmiłowanym, gdyż niegdyś i oni znosili ucisk obcych panów, ale wyzwolili się od ich przemocy pod wodzą dzielnego Wilhelma Tella. Mówią o nim, że obraził władcę swego kraju, okrutnego i pysznego Gesslera, przez to, że nie chciał, jak rozkazano, składać pokłonów przed jego kapeluszem zawieszonym na rynku. Za karę, Gessler żądał od Tella, który był znakomitym łucznikiem, by strzelał do jabłka położonego na głowie jego 9 letniego syna. Tell wycelował dobrze i strzała utkwiła w jabłku nie raniąc dziecka, gdy go zaś Gessler zapytał, dlaczego przyniósł jeszcze drugą strzałę, rzekł: „Byłbym nią mierzył do ciebie; gdyby mnie spotkało to nieszczęście, że zabiłbym własne dziecko". Za tę śmiałą odpowiedź okuto Tella w kajdany i miano go łódką przewieźć do więzienia położonego po drugiej stronie jeziora. Po drodze jednak zdołał się uwolnić, opanować wiosła, podpłynąć do brzegu, wyskoczyć z łodzi i ukryć się w górach. Podburzył swych ziomków do walki przeciw dręczącym ich tyranom i po bohaterskich wysiłkach zdołali wydobyć się na wolność. Nieraz jednak jeszcze książęta państw sąsiednich próbowali narzucić wolnym Szwajcarom swe panowanie, ale ojczyźnie Tella nie brakło nigdy mężnych obrońców. Jednym z nich był Winkelried, który prowadząc oddział uzbrojonych rodaków przeciw woj-

sku najezdcy spotkał się w ciasnym wąwozie z nieprzyjacielem. Podniósł się przeciw niemu cały las włóczni. Winkelried pochwycił najbliżej mu grożące i ich ostrze zatopił we własnej piersi rozbrająjąc tym sposobem pierwszy szereg napastników i torując drogę braciom, którzy po jego trupie szli na nieprzyjaciela.

W dziejach naszego narodu również niemało spotykamy przykładów odwagi i bohaterstwa.

Pozostał w pamięci potomnych mężny Stefan Czarniecki, co mówił o sobie: „Ja nie z roli ani z soli, ale z tego, co mnie boli, urosłem“. Znaczyło to, że nie posiadał bogactw i nie ubiegał się o nie jak współcześni mu rycerze, którzy za zasługi położone otrzymywali od króla ziemie bogate lub kopalnie soli, że całym dorobkiem jego życia były rany, które na wojnach otrzymał walcząc ustawicznie z nieprzyjaciółmi kraju. A było wówczas tych nieprzyjaciół wielu. Cały kraj zalały wojska króla szwedzkiego, który chciał sobie tron polski przywłaszczyć; z innej strony znów kozacy, Turcy, Tatarzy najeżdzali Polskę. Czarniecki na czele niewielkiego oddziału bardzo mężnego rycerstwa gonił i gromił Szwedów, puścił się nawet za niemi aż poza granice swego kraju do Danii, bo król Duński także wdał się z niemi w wojnę. Gdy Szwedzi schronili się przed nim na wyspę Alsen, Czarniecki ze swemi ludźmi puścił się za nimi wpław przez cieśninę morską, czem wprawił w zdumienie cudzoziemców, nie mających pojęcia o tak szalonej odwadze. Powróciwszy do kraju zastał tam innych wrogów i bez wypoczynku ścigał ich i gromił. Gdy kozacy zamknęli się w Stawiszczach, Czarniecki zaprzysiągł, że nic do ust nie weźmie, póki miasta nie zdobędzie. Odwaga jego zachęcała i innych. Pewien chorąży, wskoczył na mur i zatykał chorągiew, gdy mu prawą rękę odcięto. Pochwycił ją w lewą rękę, a kiedy tę stracił, położył się na chorągwi i dał się w kawałki posiekać ale jej nieprzyjacielowi nie oddał. Właśnie po zdobyciu tego miasta otrzymał Czarniecki od króla buławę hetmańską, to znaczyło, że król mianuje go głównym wodzem (hetmanem) wojska polskiego. Było to już za późno. Czarniecki leżał na łożu śmierci w chłopskiej lepiance, gdzie go schorowanego złożono w pobliżu pola ostatniej stoczonej przez niego bitwy. Życie całe i zdrowie oddał na usługi kraju, a umierając pozostawił po sobie pamięć mężnego wodza i obywatela bez skazy, który nie dla osobistej ambicyi lecz z poczucia obowiązku służył krajowi.

O innym Polaku, generale Kąckim, powiadają, że kiedy po zwycięstwie nad Turkami odbierał Kamieniec Podolski od Turków, basza turecki, któremu żal było oddać twierdzę w ręce Polaków, pokazując mu zapasy broni w podziemiach rzucił zapalony lont (knot palny) między beczki prochu. Wtedy Kącki pochwycił w rękę płonący lont i póty trzymał, póki się niewypalił i nie zgasł, choć sobie okrutnie rękę poparzył. Była to wielka od-

waga ze strony baszy a ze strony Kąckiego przytomność umysłu możliwa tylko u bardzo odważnego człowieka, który na widok niebezpieczeństwa nie myśli o ucieczce i ocaleniu siebie samego, lecz o odwróceniu nieszczęścia.

Na Woli pod Warszawą jest niewielki kościołek Świętego Stanisława*), w którym do tej pory widać tkwiące kule w ścianach. W tym kościołku przed siedemdziesięciu kilku laty działy się straszne rzeczy. Wojsko polskie broniło Warszawy, a ze wszystkich stron otaczały je nieprzejrzane szeregi wojska nieprzyjacielskiego, pod dowództwem tego samego generała Paszkiewicza, którego pomnik stoi do dzisiejszego dnia na Krakowskiem Przedmieściu. Na Woli już siły polskie były złamane, tylko generał Sowiński o siwych włosach nad pomarszczonem czołem, o jednej nodze wraz z trzystu niedobitkami broniąc się do ostatka schronił się do kościoła, na który gradem padały nieprzyjacielskie pociski. Zdumienie ogarniało walczących przeciwników na widok tego męztwa i poświęcenia. Opierać się przeważającym siłom, wydało im się po prostu szaleństwem, a jednak ten nieustraszony starzec mimowolną cześć ich budził. Zanim więc podniósł rękę na bohatera ten, co już go brał na cel, wezwał go do złożenia broni:

„Krzycz — pardon, — zdala go wzywa,
„Szaleństwem jest śmiałość taka.
Sowiński pierś mu przeszywa:
„Oto jest pardon Polaka“.

*) Dziś zamieniony na cerkiew.

Jak owi trzystu rycerzy w Termopylach, tak i Sowińskiego towarzysze broni wyginęli wszyscy co do jednego życie swoje składając na ofiarę ojczyznie.

Z tej samej wojny i z tego samego oblężenia Warszawy wziął sławny poeta — Adam Mickiewicz — treść swego prześlicznego wiersza pod tytułem „Reduta Ordona“. Redutą nazywano wówczas szaniec obronny, rodzaj małego fortu okopanego wkoło, otoczonego wałami, na których stawiano armaty, a poza któremi chronili się żołnierze. W głębi, w podziemiu reduty chowano zapasy broni i prochu. Małym oddziałkiem wojska broniącego reduty, dowodził Ordon. W koło — niby rozległe fale morza ciągnęły się szeregi nieprzyjacielskie, a nad tem morzem bagnetów sterczała reduta niby odłam skały nadmorskiej. Zewsząd coraz to ciaśniej zastępy nieprzyjacielskie okrążały samotny szaniec, lecz nieustannie sypały się z niego pociski aż cały się czerwienił od ciągłych wystrzałów. W końcu reduta zamilkła i zgasła. Może kul zabrakło, może ostatni obrońca armat krwią własną zalał lont?

„A w szaniec nieprzyjaciół kupa
„Już lazła, jak robactwo na świeżego trupa“.

Reduta była straconą. Ordon, który niewzruszenie stał do końca na posterunku, znikł a przed chwilą zdaleka widziano, że trzymał w ręku zapaloną pochodnię.

„Tu blask... dym... chwila cicho... i huk
[jak stu gromów!
Zaćmiło się powietrze od ziemi wyłomów,
Harmaty podskoczyły i jak wystrzelone
Toczyły się na kołach; lonty zapalone
Nie trafiły do swoich panew. I dym wionął
Prosto ku nam, i w gęstej chmurze nas
[ochłonął“.
Gdy chmura opadła, wszystko znikło:
„Tylko czarna bryła
Ziemi niekształtnej leży — rozjemcza mo-
[giła:
„Tam i ci, co bronili, i ci, co się wdarli,
Pierwszy raz pokój szczery i wieczny za-
[warli“.

Ordon wysadził redutę w powietrze; wolał się w niej na wieki zagrzebać, niż oddać ją w ręce nieprzyjaciela.

I ostatnie czasy pełne są przykładów podobnej bohaterskiej odwagi.

W czasie wojny rosyjsko-japońskiej dużo mówiono o męztwie Japończyków, którzy śmiało ruszali na pewną śmierć, byleby swej ojczyźnie zwycięztwo zapewnić. Kiedy chodziło o to, żeby rosyjską flotę uwięzić w Porcie Artura, zamykając jej ztamtąd wyjście, i trzeba było zatopić okręt, któryby je zatamował, jeden z tak zwanych branderów używanych na ten cel, zgłosiło się do tego niebezpiecznego przedsięwzięcia tylu ochotników,

że ich musiano losem wybierać. Pod gradem kul nieprzyjacielskich płynęli do portu, wiedząc, że zginą w falach morskich, ale przekonani, że tonąc, spełniają swój obowiązek i podtrzymują rodaków w walce.

Każdy naród ma takich bohaterów, których pamięć czcią otacza, których czyny sławi w swoich pismach i powieściach, którym stawia pomniki, a wieńcami zdobi ich mogiły.

Jakkolwiek wszyscy cenimy życie i bronimy go przed wszelkiem niebezpieczeństwem, jakkolwiek uważamy za rzecz usprawiedliwioną i słuszną dbać o zachowanie zdrowia i przedłużenie życie, jednakże mimowoli nawet uchylamy czoła przed bohaterami, którzy nie lękają się śmierci i odważnie idą naprzeciw niej.

Dlaczegoż to? Dlaczego odwaga wydaje nam się tak piękną, tak godną podziwu i uwielbienia, kiedy równocześnie cenimy i kochamy życie?

Ponieważ czujemy, że na to, aby się pozbyć obawy śmierci, człowiek musi się przejąć jakiemś bardzo wielkiem, bardzo silnem uczuciem, które mu każe zapominać o sobie i swojem osobistem szczęściu. Odwaga nie płynąca z takiego wielkiego i potężnego uczucia, nie budzi w nas szacunku nawet wtedy, gdy ją podziwiamy. Człowiek, który się wdziera do cudzego mieszkania w zamiarze kradzieży lub rabunku, daje także dowód pewnego rodzaju odwagi, choć naturalnie wiemy z góry, że wprawdzie życie naraża, ale nie czyni z niego do-

browolnej ofiary, marzy owszem o szczęśliwej ucieczce. Człowiek, który obraziwszy się wyzywa swego przeciwnika na pojedynek, mierzy do niego i wiedząc, że i tamten do niego strzelać będzie, w pewnej mierze okazuje odwagę, ale ani go nie podziwiamy, ani nie pochwalamy jego czynu. Powoduje nim chęć zemsty, albo też obawa sądów głupich ludzi, wśród których utrzymuje się przesąd, że pojedynek oczyszcza imię człowieka z zarzutów, które mu stawiają.

Ten rodzaj odwagi właściwy jest ludziom lekkomyślnym i pustym, a czasem idzie w parze i z pewnego rodzaju tchórzostwem, kiedy człowiek po prostu dla tego wyzywa na pojedynek lub wyzwanie przyjmuje, że boi się, by go nie wyśmiewano i nie lekceważono, jeżeli ogólnie przyjęty zwyczaj przełamie.

Czy każdy, kto idzie na wojnę, gdzie mu na każdym kroku śmierć grozi, jest odważny i czy zawsze odwaga okazana w walce godna jest podziwu?

Wiemy bardzo dobrze, że dziś na wojnę idzie najczęściej nie ten, kto chce, ale ten, kto musi, bo właśnie wtedy służy w wojsku, gdy wojna wybucha. Gdyby nie chciał walczyć, lub z wojska uciekł, groziłaby mu kara śmierci nieuchronna; na wojnie może wprawdzie zginąć, lecz może i wyjść cało. I wtedy więc nieraz, jak w pojedynku nie wiadomo, co przemaga: strach, czy odwaga.

Dziś już chyba niema na świecie człowieka,

któryby wątpił, że każda wojna jest wielkiem nieszczęściem, nietylko dla tych, co w niej giną, ale dla całego kraju. Rzadko zresztą dziś prowadzi się wojny o to, co mogłoby być warte ofiar z życia ludzkiego i rzadko ci, co wiedzą, o co się walczy i co wojnę wywołują, idą walczyć sami i życie swe narażać.

Leonidas, Wilhelm Tell, Winkelried, Sowiński, Ordon i wielu im podobnych wiedzieli, o co walczą, i choćby mogli, nie zechcieliby swego życia ratować. Własne uczucie, miłość wolności i miłość kraju kazały im zwyciężyć lub zginąć. Wielu jednak odważnych żołnierzy przypomina raczej owego chłopa. którego opisuje Sienkiewicz w „Bartku zwycięzcy“. Bartek, Polak, ale poddany pruski, służył w wojsku, więc musiał w szeregach niemieckich walczyć przeciw Francuzom, o których po raz pierwszy w życiu słyszał, i nie miał pojęcia, czemu do nich strzelać należy. Kiedy jednak w ciągu bitwy muzyka zaczęła grać polskie pieśni, a huk wystrzałów odurzył go i rozjątrzył, wpadł w jakiś szalony zapał i bił się tak dzielnie, że generał zwrócił na niego uwagę i chciał go wynagrodzić za okazane męztwo. Zadał mu więc kilka pytań między innemi: „Kto są Francuzi?“, a Bartek odpowiedział, że to takie same Szwaby, jak Prusaki, tylko jeszcze gorsze szelmy. Okazało się więc, że biedny, głupi Bartek bił Francuzów z nienawiści dla Niemców, że – po prostu — nie wiedział, co robi.

Jeżeli jednak wojna jest rzeczą straszną, a często nawet zbrodniczą, gdy ją wywołuje interes, chciwość, ambicya pojedyńczych ludzi, lub brzydka zawiść jednego narodu względem drugiego, któremu chce odebrać ziemię i jej bogactwa, ujarzmić go, a potem wyzyskiwać, nie mniej odwaga jest piękną i całkiem słusznie darzymy uwielbieniem tych, co umieją gardzić śmiercią, okupując nią jakieś wyższe, niesamolubnie pojęte dobro.

Taka odwaga będzie zawsze potrzebna, nawet wtedy, gdy—jak mam nadzieję, ustaną wojny i przemoc jednego narodu nad drugim. Przykłady takiej odwagi dawali zresztą i dają codziennie nietylko uzbrojeni rycerze i umundurowani żołnierze, nietylko ci ludzie, których imiona zapisuje historya lub głoszą gazety.

Mówiono mi, że przed wielu laty żył pewien młody pastuszek, którego nazwisko zresztą zostało zupełnie zapomniane. Podczas gdy on pasał bydło, na łące bawiło się sporo dzieci, a może i on sam uczestniczył w zabawie. W okolicy wtedy pokazał się wściekły pies, który szerzył postrach ogólny. Otóż pies ten naraz wpadł między gromadkę dzieci i byłby je niewątpliwie pokąsał, gdyby nasz odważny pastuszek nie był sam wybiegł przeciw niemu i chwycił go za gardło. Pies wydzierając mu się gryzł go straszliwie, ale chłopak poraniony do krwi nie puszczał go jednak czekając aż pomoc ze wsi nadbiegnie i ubiją niebezpiecznego psa. W owym czasie (było to kilkadziesiąt lat temu) nie znano

jeszcze sposobu leczenia wścieklizny przez szczepienie. Pastuszek wiedział, że czeka go śmierć straszna, ale dla ratowania swych rówieśników dobrowolnie uczynił ofiarę z życia.

Mieszkańcy wielkich gór pnąc się po skalistych ścieżkach nad głębokiemi przepaściami, po lodowcach, wysokich turniach dają codziennie dowody odwagi, gdyż za każdym krokiem życiu ich grozi niebezpieczeństwo. Idą tam bądź to dla zapewnienia bezpieczeństwa podróżnym, którzy zwiedzają góry, bądź też dla wykonania pożytecznych prac, wykuwania ścieżek w skalistych zboczach, torowania człowiekowi drogi tam, gdzie zdawałoby się, że tylko ptak na skrzydłach dolecieć może.

Marynarze przebywający dalekie morza, rybacy, którzy dla połowu ryb żeglują wciąż wystawieni na wiatry i burze, nurkowie spuszczający się na dno morskie, by z niego wyławiać perły, korale, gąbki i inne skarby morza służące następnie do użytku lub ozdoby, wszyscy ci ludzie dają dowody odwagi, przywykają do wystawiania swego życia na niebezpieczeństwo. Gdyby nie było tych odważnych co przy pracy swej codziennej zdolni są śmierci patrzeć w oczy, nie kosztowalibyśmy ani cząstki tych dobrodziejstw cywilizacyi, tych wygód i dobrobytu, do jakich przywykli dziś już najbiedniejsi.

Cóżbyśmy poczęli, gdyby na raz przestano do wozić węgiel kamienny? Otóż ten niezbędnie potrzebny węgiel otrzymujemy kosztem nieustannego

narażania życia górników, którzy go z ziemi dobywają. Wypadki w kopalniach należą do bardzo częstych, pospolitych wydarzeń. Wybuch gazu, pożar, oberwanie się szychty, powódź zabierają zawsze jakieś ofiary w ludziach, a dla bezpieczeństwa górników dotychczas robi się znacznie mniej niż dla zysku właścicieli lub dogodności odbiorców towaru.

W hutach żelaznych pracujący hutnicy ciągle narażeni są na straszną śmierć lub kalectwo, nie mówiąc już o tem, że zdrowie ich musi cierpieć w warunkach, w jakich pracują, i długiego życia nikt z nich się nie spodziewa.

Lubimy podziwiać piękne budowle zdobiące nasze miasto, cieszy nas widok strzelistych wież kościelnych, ozdobnych i lekkich rysujących się na na tle nieba. Rzadko jednak przychodzi nam na myśl, że chcąc piękną budowę uwieńczyć taką smukłą wieżycą ludzie musieli się wspinać po wątłych rusztowaniach wysoko nad ziemią i wykonywać trudne i mozolne prace nad przepaścią, w którą runąć mogli za każdym nieostrożnym krokiem, że niejeden z nich przy pracy śmierć ponosi istotnie osierocając rodzinę swoją.

Widzieliście może kiedy pożar? Jestto straszna klęska, a śmierć w ogniu należy do najokropniejszych, jakie sobie wyobrazić można. Owa klęska nawiedzałaby nas o wiele częściej, gdyby miasta i osady nie utrzymywały straży ogniowych złożonych z ludzi gotowych każdej chwili biedz na

ratunek bliźnim; z narażeniem życia iść w ogień, w dym gryzący, wspinać się po drabinach i dachach i wśród szalejących płomieni ze spokojną odwagą tłumić pożar, gasić, ratować tych, którzy nie zdążyli lub nie mogą uciec z płonącego budynku.

Nie mniejszą klęską niż pożary są zaraźliwe choroby. W dawnych, bardzo dawnych czasach, gdy jeszcze nie znano różnych sposobów leczenia tych chorób, ale już rozumiano, że się one od człowieka do człowieka przenoszą — nieuleczalnie zarażonych wywożono na bezludne wyspy lub też tak odosabniano, by się do nich nikt zbliżyć nie mógł i zarazy roznosić. Niekiedy zaraza — którą zwano także morowem powietrzem, tak się szerzyła, że wyludniała całe wsie, okolice, miasta i kraje. Ludzie ze strachu przed „morem“ uciekali w lasy, lub dostawali obłędu i zaraza chorób umysłowych szła w ślad za poprzednią. Później jednak przekonano się, że od tych chorób nie należy uciekać lecz trzeba z niemi walczyć. Lekarze i uczeni z narażeniem własnego życia badali przyczyny chorób i szukali na nie lekarstwa, inni równie odważni, poświęcali się dla pielęgnowania i leczenia zarażonych, a choć niejeden swoje poświęcenie śmiercią opłaca, liczba ofiar wciąż się zmniejsza i dziś już choroby zakaźne nie budzą takiego postrachu jak dawniej.

Widzicie, jak wiele zawdzięczamy odważnym ludziom. Człowiek lękliwy, tchórz — jest stworze-

niem małem, słabem, i może dość słusznie bywał zawsze lekceważony albo nawet wzgardzony. Pod wpływem strachu ludzie popełniają nieraz rzeczy nizkie, nikczemne, lub poprostu niedorzeczne, a czasem ściągają na siebie i drugich klęski, jak już wam wspominałam.

Sądzę też, że każdy z was pragnąłby być odważnym i wstydzi się, kiedy go lęk opanuje. Dzieci lękają się często bez powodu; coś im się wydaje strasznem, dla tego że nie znają i nie rozumieją tej rzeczy. Do pewnego stopnia więc rozum jest lekarstwem na strach. On sam jednak nie wystarcza. Aby być odważnym, trzeba się w tem ćwiczyć zawczasu i trzeba przedewszystkiem pozbywać się niedołęztwa. Człowiek silny, zręczny, przytomny, panujący nad sobą i swojemi ruchami, bywa odważniejszy niż człowiek rozpieszczony, do wygód i spokoju przywykły. Wiecie jak wychowywano i ćwiczono młodych Spartan, aby z nich uczynić mężnych i walecznych wojowników. Ruch, gimnastyka, praca wyrabiają siły, a spokojne znoszenie bólu, pokonywanie drobnych przeciwności bez skarg i bez wzywania pomocy ćwiczą wolę człowieka.

Na to więc, aby stać się kiedyś odważnymi ludźmi — zacznijcie od dziś pracować nad pokonywaniem lękliwości, słabości, niedołęztwa, a w przyszłości może z naszych małych zuchów wyrosną dzielni ludzie.

POGADANKA ÓSMA.

Rozwaga i przezorność.

Są pewne rodzaje odwagi, których bardzo nie lubię, a które często spotykamy u dzieci. Właściwie nie zasługują one na nazwę odwagi, ale jak je nazwać należy, to osądzicie sami, gdy wam kilka przykładów przytoczę.

Dzieci zimą chętnie biegną na lód i ślizgają się na łyżwach. Starsi im tego naturalnie nie bronią; jest to zdrowa i pożyteczna rozrywka. Ślizgawka rozgrzewa członki, ćwiczy siłę i zręczność malców. Kto nie umie jeździć na łyżwach, łatwo traci równowagę, przewraca się i guza nabije. Nie jest to jednak niebezpieczne. Guzy i siniaki znikają, a zdrowie, siła, zręczność i śmiałość ruchów nabyte kosztem tej małej przykrości — pozostaną. Czasem jednak starsi bronią dzieciom ślizgawki. Na wiosnę, gdy słońce mocniej dogrzewa, a lód staje się cieńszy, bo zwolna topnieje, jest to już niebezpieczna zabawa, o ile odbywa się na stawie lub rzece, a nie na sztucznym torze. Dzieci upierają się przy swojem: „Niech się Mama nie boi, nie załamiemy się na lodzie!“ i biegną mimo przestróg. Nie wiedzą wcale, że się nie załamią, nawet tego wiedzieć nie mogą, bo to od nich nie zależy. Nie boją się dlatego tylko, że o niebezpieczeństwie nie

myślą, nie przewidują go; wolą myśleć o zabawie i zapomnieć, czem ona grozi. Opamiętanie przychodzi po niewczasie, gdy jednemu z nich trafi się nieszczęście, wpadnie pod lód, a drudzy strachem ogarnięci wzywają pomocy, która czasem jest spóźnioną, a czasem daremną.

Czy nie lepiej było zawczasu pomyśleć o tem, co się robi i przewidzieć wypadek? Mróz trzaskający na dworze, a dzieci w pokoju ogrzanym bawią się wesoło, gonią się, tańczą, skaczą i są całe spocone. Starsi przestrzegają ich: „Nie wybiegajcie na dwór ani do zimnej sieni bez ciepłego okrycia, póki jesteście spocone“. Dzieci nie słuchają. Żadne z nich nie boi się choroby, kaszlu, zapalenia płuc. Nie jest to odwaga z ich strony; poprostu nie chcą myśleć o tem, coby ich w zabawie krępować mogło, nie chcą rozważać, ani przewidywać skutków swego postępowania. Kiedy zmuszeni są położyć się do łóżka, zażywać lekarstwa, leżyć bez ruchu, rozstać się z towarzyszami zabaw na długo, gdy ich kaszel męczy, gorączka i bezsenność osłabia, żałują tego, co zrobiły. Tak łatwo było uniknąć choroby! Trzeba jednak było pamiętać o tem zawczasu.

Czy takie postępowanie zasługuje na podziw i pochwałę? Czy nazwiecie je odwagą? Nie. To jest poprostu lekkomyślność. Lekkomyślnymi nazywamy ludzi, którzy nie umieją i nie lubią myśleć o tem, co nastąpi później, co z ich postępowania wyniknie i oddają się bez zastanowienia i bez roz-

wagi każdej swej zachciance. Po niewczasie zaś żałują tego co robili, domagają się pomocy, wołają ratunku, oglądają się na drugich zamiast na siebie liczyć, a mogliby się obejść bez cudzej opieki i pomocy, gdyby się byli zawczasu — sami rozsądnie zaopiekowali sobą.—Odwaga jest tylko wtedy cenną i pożyteczną, gdy jej towarzyszy rozwaga, tj. rossądny namysł, liczenie się ze swemi siłami i świadome kierowanie swojem postępowaniem.

Jeżeli stado owiec pcha się bezmyślnie napowrót do płonącej owczarni i ludzie z trudem muszą je odpędzać, żeby się nie popaliły, nie powiemy, że owce są odważne tylko głupie, bezmyślne.

Jeżeli wódz prowadzi swe wojsko na pewną zgubę tam, gdzie je musi nieprzyjaciel osaczyć i wytracić, albo jeśli rozpoczyna wojnę nie będąc do niej wcale przygotowanym i naraża dziesiątki tysięcy ludzi na ogień nieprzyjacielskich pocisków nie zaopatrzywszy ich w broń, odzież, żywność — to bynajmniej nie podziwiamy jego odwagi — choćby sam swoje życie narażał — lecz potępiamy jego lekkomyślność, która w tym razie równa się zbrodni.

U dzieci lekkomyślność i brak rozwagi naturalnie trafia się wiele częściej niż u dorosłych i łatwiej ją wybaczyć. Żyją tak krótko, tak mało wiedzą o niebezpieczeństwach, cierpieniach, stratach i niedostatkach, jakich doświadczyć mogą, że nie można się dziwić, jeżeli nie przewidzą czegoś naprzód, nie obliczą i nie rozważą zawczasu swych

postępków. Dla tego starsi muszą nieraz przewidywać za nie i przestrzegać je; dobrze też robią dzieci, gdy przestróg słuchają i ufają swoim opiekunom. Na nieszczęście lekkomyślność i nierozwaga same się karzą, i choć my je chętnie wybaczamy, życie nie wybacza i zawsze za nie odcierpieć trzeba. Trudno też tak nieustannie czuwać nad dzieckiem, żeby wszystkie drobnostki przewidywać, a jeśli ono zawczasu nie nauczy się rozważać tego co robi, wyrośnie na lekkomyślnego i nierozważnego człowieka, przez co na siebie i drugich niemało ściągnąć może nieszczęść.

Spójrzmy na różne dzieci spotykane na ulicy wielkiego miasta. Jedne z nich chodzą zawsze w towarzystwie starszych. Póki małe, matka lub niańka prowadzi je za rękę; gdy podrosną, chodzą z rodzicami, z nauczycielką lub służącą zobowiązaną ani na chwilę nie tracić ich z oczu, strzedz od wszelkiego wypadku, pilnować by nie zbłądziły, by ich ktoś nie zaczepił, nie potrącił, wreszcie by się przyzwoicie zachowały. Inne chodzą same. Nieraz nawet i to już od najmłodszych lat biegają po sprawunki i załatwiają różne drobne polecenia. Bez opieki idą do szkoły i z niej wracają. Pierwsze licząc na to, że ktoś inny za nie odpowiada i nad ich bezpieczeństwem czuwa, oglądają się, zatrzymują tam gdzie największy ruch, na przejściach zamyślą się lub tak pogrążą w zadumie, że nie widzą, gdy dorożka nadjeżdża i trzeba pociągnąć za rękaw, aby je uchronić od wpadania pod koła.

Drugie idą śmiało naprzód ale widzą wszystko, co się wkoło nich dzieje; słyszą dobrze i dzwonki tramwajowe i nawoływania dorożkarzy, zdaleka dostrzegą zbiegowisko i omijają je, unikają zaczepek, nie chcą, by na nie zwracano uwagę, zręcznie przemykają się w tłoku ulicznym, a w porę przystają, jeśli cyklista na kole mimo nich przemyka. Śmiało można je puszczać na miasto o różnych porach dnia. Nie boją się i ja się o nie nie boję. Są rozważne i dla tego odważne. Pilnują zawsze siebie, wiedzą o niebezpieczeństwach, lecz umieją ich unikać. Właśnie dla tego w ważnej chwili nie tracą przytomności umysłu, co się często zdarza dzieciom lekkomyślnym, gdy je z nienacka zaskoczy jakiś wypadek.

O ludziach dorosłych — gdy są lekkomyślni — mówią, że są jak dzieci, o rozważnych dzieciach, że są roztropne jak starzy ludzie. Ponieważ jednak dorosły człowiek nietylko za siebie najczęściej odpowiada, ponieważ od dorosłych wymaga się też, by drugim kłopotu nie sprawiali lecz sami się sobą opiekowali, lekkomyślność dorosłych surowo ganimy i potępiamy. Są to ludzie i nieszczęśliwi i szkodliwi zarazem. Dlatego też trzeba zawczasu uczyć się przezorności i rozwagi.

Znacie wszyscy bajeczkę o koniku polnym i mrówce? Konik polny skakał i śpiewał przez całe lato, w czasie gdy mrówka skrzętnie zbierała zapasy na zimę. Gdy liście opadły, mróz ziemię zwarzył, a zimny wiatr dąć począł, biedny konik

polny chłodem i głodem nękany udał się o pomoc do gospodarnej mrówki. Ta zaś odprawiła go z niczem i jeszcze wyśmiała: „Jeżeli przez całe lato tańczyłeś, to teraz możesz sobie śpiewać“.

Nie powiem, żeby mi się podobała odpowiedź mrówki. Bądź co bądź konik polny—choć sam sobie winien—był bardzo nieszczęśliwy, a nieszczęścia nigdy wyśmiewać nie należy. Sądzę też, że jedną z największych rozkoszy dla ludzi przezornych, rozważnych i umiejąch radzić o sobie, jest nietylko to, że nie są nikomu ciężarem, lecz że mogą udzielać pomocy potrzebującym. W każdym razie jednak nie chciałbym, abyście tak postępowali jak lekkomyślne koniki polne, zupełnie zapominające wśród ciągłych zabaw i uciech o potrzebach jutrzejszego dnia, o poważnych obowiązkach, o skutkach, jakie każdy nasz czyn za sobą pociąga. Znane nam koniki polne wśród dzieci nigdy na poniedziałek nie przygotują lekcyi, bo w sobotę po południu i w niedzielę ciągle się pocieszają, że jeszcze dużo czasu, aż w końcu spostrzegają, że już wcale czasu nie ma, aby coś porządnego zrobić. Tymczasem dzieci-mrówki myślą naprzód o tem, żeby swoje obowiązki spełnić, a potem przez całą niedzielę spokojnie korzystają ze swobody.

Koniki polne wśród dorosłych ludzi wydają zawsze wszystkie pieniądze, jakie zarobią lub posiadają, licząc, że jak jednych zabraknie, znajdą się drugie i zawsze „jakoś to będzie“. I rzeczywiście też zawsze jest „jakoś“ — ale czasem jest bardzo

źle, bo pieniądze wydano na rzeczy zbyteczne, a braknie ich na najpotrzebniejsze: na wychowanie dzieci, na leczenie w razie choroby, na utrzymanie rodziny w chwili, gdy zarobki i dochody ustaną.

Dużo u nas, bardzo dużo takich koników polnych nie myślących o jutrze i pocieszających się, że „jakoś to będzie“, ludzi którzy liczą zawsze na szczęśliwe wypadki, a nigdy nie przewidują mniej szczęśliwych i nie zapobiegają im.

Nieraz właśnie dzięki takiemu przewidywaniu możnaby niejednemu nieszczęściu zaradzić zawczasu.

Przez kilka lat stał w Warszawie przy ulicy Żórawiej dziwny dom. Niby nowy, bo jeszcze niezupełnie wykończony i wcale nietynkowany, niby stary, bo ściany jego pokrzywione i pękające popodpierano i podtrzymywano jakgdyby u jakiej walącej się rudery. A była to ogromna czteropiętrowa kamienica całkiem pusta, bo nikt w niej nie mógł mieszkać ze strachu przed zawaleniem.

Ci co ją budowali, pracę swą od samego początku ogromnie niedbale wykonywali. Spróbujcie tylko ustawić wielką ścianę z waszych klocków. Wiecie dobrze, co trzeba zrobić, żeby się nie przewróciła. Trzeba kłaść równo klocek na klocku w ten sposób, żeby ściana z obu stron tworzyła pionową płaszczyznę, trzeba zrobić podstawę szerszą i cięższą niż boki, trzeba ażeby każdy klocek był dobrze podparty i nie usuwał się. Jeżeli wy zachowujecie takie ostrożności, gdy budujecie wa-

sze pałace dla zabawki, o ileż więcej przezorności trzeba, gdy się stawia dom, który ma być siedzibą ludzi. Trzeba dobrać mocny materyał na budowę, zdrowe drzewo, trwałe cegły, trzeba się ściśle trzymać planu, dokładnie dopasowywać wszystkie części i obliczać ich ciężar i wytrzymałość, wykonywać robotę starannie i uważnie, aby się nie skrzywiła i nie runęła pod własnym naciskiem. O tem wszystkiem nie myśleli, ci co budowali ową kamienicę. Aby prędzej, aby taniej choć byle jak zbudować dom i odnająć mieszkania, a brać za nie pieniądze, oto jedyna rzecz, którą mieli na myśli. I oni mówili sobie: „Jakoś to będzie“, *jakoś* ta kamienica będzie stała. Nie przewidzieli, że ich marna robota wcale wykończoną nie zostanie, bo dom zacznie się walić, zanim będzie gotowy i wprost nie wolno będzie kończyć i odnajmować. Można to nawet uważać za wielkie szczęście, że przed skończeniem budowy mury pękać i rysować się zaczęły, bo jakżeby to było strasznie, gdyby się zawaliły na głowy swych mieszkańców i pogrzebały w gruzach niewinnych ludzi, ofiary cudzej lekkomyślności.

Zdarzyło się też raz, że jakiś dom stary nie odnawiany i nie naprawiany w porę przez właściciela istotnie zawalił się częściowo i pokaleczył lub pozabijał ludzi nieostrzeżonych w porę lub tak lekkomyślnych, że mimo przestróg nie wyprowadzali się z niego licząc. że „jakoś to będzie“; „stał tak długo — postoi i rok jeszcze“.

Ile razy lekkomyślność ściąga nieszczęścia na drugich staje się występkiem. W domu naprzykład pojawia się zaraźliwa choroba, ale domownicy nie chcąc sobie utrudniać zajęć ani przerywać dzieciom nauki zatrzymują to w tajemnicy. Dzieci nadal chodzą do szkoły, dorośli do cudzych domów i wszędzie zarazę roznoszą. Pocieszają się, że kto ma zachorować, to i tak zachoruje, kto ma umrzeć i tak umrze. Tymczasem później patrząc na rozpacz matek, które tracą dzieci skutkiem zarażenia się w szkole od kolegów, patrząc na ciągłe szerzenie się choroby zabierającej coraz to nowe ofiary, doznają srogich wyrzutów sumienia, czują bowiem, że te cudze nieszczęścia wynikają w znacznej części z ich winy. Mówią wtedy: „Gdybym był wiedział, że do tego przyjdzie, nie byłbym tego zrobił“. Ale jest już zapóźno złe naprawić. Trzeba było naprzód je przewidzieć.

Zanim coś postanowimy zrobić, trzeba się namyślać, aby nie przyszło żałować po niewczasie.

W czem jeszcze należy zachować przezorność i rozwagę? W mowie. Mówią, że słówko muchą wyleci a powróci wołem.

Co to znaczy? Wydaje nam się rzeczą bardzo drobną i małoznaczącą, czy coś powiemy, czy zamilczymy; często jednak skutki naszych słów są tak straszne, że stajemy przerażeni, gdy one na nas spadną. Ludzie w gniewie rzucają różne pogróżki nie obliczając wcale, że ktoś może im uwierzyć i brać je poważnie lub że słowa nasze ranią boleśnie i nieuleczalnie drugich. Zdarza się, że ojciec

w gniewie zapowie synowi: „Jeżeli nie dostaniesz promocyi, nie pokazuj mi się na oczy!“ a syn, gdy go promocya minie, trzymając się tego, co ojciec powiedział, ucieka w świat lub odbiera sobie życie, pogrążając w boleści rodziców, którzy chętnie cofnęliby swoje słowa, gdyby jeszcze mogli. Często nierozważnie wygadamy się z jakąś wiadomością, którą powinnibyśmy zachować dla siebie, gdyż sprawi komuś zupełnie niepotrzebną boleść, zatruje mu życie, albo też dojdzie do uszu tych, co z niej na szkodę drugich skorzystają, albo wreszcie wywoła między ludźmi sprzeczki lub walki, którychby można było uniknąć, gdybyśmy umieli utrzymać język za zębami.

Może znacie zabawę zwaną „gra w plotkę“? Kilka osób usiądzie rzędem obok siebie, a jedna z nich powie siedzącej obok coś szeptem do ucha. Ta powtórzy po cichu sąsiadce, tak jak słyszała, tamta powie dalej, a w końcu ostatnia powie głośno, co do jej uszu doszło, pierwsza zaś to co mówiła. Okazuje się zawsze, że między jednem i drugiem są duże różnice, czasem zaś nie ma żadnego podobieństwa. Coś podobnego jak w tej grze dzieje się często między ludźmi. Powtarzając cudze słowa lub posłyszane wiadomości każdy coś doda, lub zmieni, czasem sam sobie z tego nie zdając sprawy, w końcu idzie w świat pogłoska nie mająca nic wspólnego z prawdą albo krzywdząca niewinnych i pozbawiająca ich dobrego imienia, albo też szerząca niepotrzebny popłoch. Rozwaga i przezorność nakazują więc zastanowić się, zanim powtórzymy wiadomość, której nie jesteśmy pewni, bo nie sprawdziliśmy sami i zanim nie obliczymy następstw naszych słów.

Pewien mędrzec chcąc swego ucznia nauczyć rozwagi w mowie, polecił mu oskubać gęś i wyrzucić pierze na drodze za miastem. Po kilku dniach poszedł z nim w to samo miejsce i powiedział: „Pozbieraj teraz wszystkie pióra co do jednego“. Tymczasem wiatr poroznosił je już po szerokich polach; uczeń więc tłomaczył się, że to jest po prostu niemożliwe. „Tak jak ty pierze, tak ludzie na wiatr rzucają słowa i niemożliwem jest cofnąć je z powrotem, choćby tego najgoręcej pragnęli“.

Rozwaga i przezorność są potrzebne również w wyborze przyjaciół. Jeżeli kogoś mało znamy, nie oświadczajmy mu się z przyjaźnią i nie wchodźmy z nim w zażyłość, abyśmy później nie żałowali tego. W bliższem pożyciu może nam się jego wady bardzo dadzą we znaki i będzie nam wtedy trudniej usunąć się niż zawczasu zdaleka się trzymać. Każdy ma swoje wady i nie byłoby przyjaźni na świecie, gdyby jedni drugim uraz nie wybaczali i błędów nie wyrozumieli. Jest jednak rzeczą naturalną i słuszną, że do codziennego towarzystwa, do blizkiej poufałości wybieramy sobie tych ludzi, którym ufać możemy, a unikamy fałszywych, obłudnych, podstępnych, złośliwych i zazdrosnych; wreszcie dobrze jest nie łączyć się z takimi, którzy

nam przeszkadzają pracować nad swoim charakterem i z wad się swoich poprawić. Kolega, któryby na mocy waszej przyjaźni domagał się, byście mu pomagali dokuczać innym towarzyszom, wyśmiewać ich lub upokarzać, okłamywać lub oszukiwać nauczycieli lub rodziców — napewno nie zasługuje na przyjaźń.

Mówiłam już, że przezorność nakazuje nam chronić się od choroby, póki jesteśmy jeszcze zdrowi i zachowanie zdrowia od nas samych zależy. Oprócz tych chorób, które jednorazowa lekkomyślność sprowadzić może, są inne znacznie trudniejsze do uleczenia, na które pracujemy przez długie lata nabywając szkodliwych przyzwyczajeń. Jest wielkiem nieszczęściem utrata wzroku. Człowiek niewidomy zasługuje na serdeczne współczucie. Oprócz zupełnie niewidomych ludzi jest wielu takich, którzy widzą bardzo mało i niewyraźnie, a przeto wszelka praca trudno im przychodzi i dużego wymaga wysiłku, a mnóstwo pięknych rzeczy, w które wpatrujemy się z rozkoszą, dla nich prawie nie istnieje. Zależy to w znacznym stopniu od woli człowieka, ażeby siłę swego wzroku utrzymać lub zniszczyć. Czytanie i pisanie o zmroku, pochylanie głowy nad książką lub zeszytem psują wzrok. Przezorni rodzice ostrzegają dzieci, aby się trzymały prosto, a one słuszność tych przestróg uznają czasem dopiero wtedy, gdy już bez okularów mało co widzą, gdy mają krzywe łopatki, a wklę-

słe piersi i słabe płuca, to jest, gdy złe nawyknienie już ich siły i zdrowie podkopie.

Przyzwyczajenie rządzi większą częścią naszych postępków. To do czego przywykliśmy, robimy łatwo i bez wahania; to co dla nas nowe, wymaga namysłu i wysiłku. Przyzwyczajenie jest więc dla człowieka tem, czem szyny dla tramwaju lub pociągu kolejowego; póki się po nich porusza, idzie gładko i toczy się lekko, gdy zboczy, zaryje się i ruszyć nie może. Człowiek przezorny zawczasu myśli o tem, ażeby sobie wytknąć tor i ułożyć szyny na właściwej drodze wiodącej do obranego celu, bo gdy go raz fałszywie zbuduje, zboczyć będzie trudno. Dzieci są szczęśliwsze od starszych, bo one dopiero budują tor dla swej kolei, mogą go poprawiać i chronić się od wejścia na złą drogę. Przyzwyczajenia ich dopiero się tworzą i zależą od nich samych, a nie one od swych przyzwyczajeń. Jeżeli więc zawczasu unikać będą słów grubiańskich lub złośliwych, czynów brutalnych, niskich, lekkomyślnych, nieuczciwych, a przywykać do pracy, rzetelności, porządku, łagodności, prostoty itp.—to kiedyś przyjdzie im bardzo łatwo utrzymać się na właściwej drodze w życiu i zmierzać do pięknego celu.

Czasem lekkomyślność i nierozwaga ogarnia całe tłumy ludzi, całe narody i pcha je do zguby.

Jak przy stawianiu budynku, gdy się lekceważy trwałość fundamentu, prosty kierunek ścian, całość dachu — dom zawalić się może, tak i naród

cały, który swego dobra na mocnym nie buduje fundamencie, może popaść w nieszczęście i nędzę. Kiedy przed kilkuset laty odkryto nową ziemię, Amerykę, a w niej wielkie bogactwa, kopalnie złota i drogich kamieni, mnóstwo ludzi rzuciło się na tę zdobycz w przekonaniu, że najłatwiejszą drogą do szczęścia i pomyślności jest przywłaszczenie sobie gotowych skarbów. Głównie ta gorączka ogarnęła naród, który pierwszy do Ameryki dotarł, czyli Hiszpanów. Olśnieni wspaniałością odkrycia wyobrazili sobie, że w głębi amerykańskiego lądu mieści się jeszcze coś cenniejszego niż to, co poznali, całe miasto ze złota, czyli Eldorado. Szukali więc tego Eldorado, zdobywali coraz nowe kraje, tępili krajowców lub ujarzmiali ich i kazali pracować na siebie, a jakkolwiek złotego miasta nie znaleźli, posiedli liczne kopalnie złota, niesłychanie urodzajne ziemie i panowanie nad olbrzymiemi obszarami świata. A jednak im dłużej trwała ta pogoń za złotem, tem bardziej kraj biedniał i upadał. Naród cały odwykał od pracy, oglądał się nieustannie na owe wymarzone łatwe zdobycze i sądził, że jego potęga zawsze trwać będzie. Przestano myśleć o jutrze, przewidywać niepomyślne zmiany losu. Tymczasem ujarzmione ludy nie chciały ciągle pracować na obcych; zabrane kraje jeden po drugim wydobywały się na wolność, by nie dać się wyzyskiwać przez próżniaczych panów. Złoto, którego przecież ani zjeść, ani się niem odziać, ani w niem mieszkać nie można, płynęło

wciąż do rąk innych narodów pracowitych i zaradnych, które musiały dostarczać Hiszpanom środków zaspokojenia potrzeb. Bieda i ciemnota wzrastały z dniem każdym, a złe nawyknienia do lekkomyślności i lenistwa, liczenie na łatwe zdobycze utrudniały dźwignięcie się z tego smutnego stanu. Niegdyś najpotężniejsza z narodów ziemi, Hiszpania, po niewczasie przekonała się, że pod każdym względem przewyższyły ją inne, choć nie posiadały złota, ani brylantów, ani ziemi dającej żniwo dwa razy do roku.

Gorszy jeszcze los spotkał nasz własny kraj. I w naszym narodzie lekkomyślność, liczenie na szczęśliwe okoliczności, na „jakoś to będzie“ ogarnęło wszystkich, stało się zgubnem i niebezpiecznem nawyknieniem. Ci, których obowiązkiem było rządzić przezornie, radzić rozważnie o zabezpieczeniu kraju przed klęskami niewoli i upadku, kłócili się między sobą albo oddawali się szalonym zabawom i hulankom pocieszając się, że „Polska nierządem stoi“. I oni liczyli, że bez ich woli wszystko się pomyślnie złoży, a kiedy już spostrzegli niebezpieczeństwo, było zapóźno złe naprawić. Wszystkie spóźnione wysiłki obronienia kraju przed obcem jarzmem poszły na marne i niewczesny żal ogarnął naród „Mądry Polak po szkodzie“, powiedziano wtedy z goryczą, a pozostało w mowie naszej to przysłowie, jako przestroga na przyszłość, żeby rozumu używać na przewidywanie szkód i zapobieganie im zawczasu.

POGADANKA DZIEWIĄTA.

Porządek.

Wyjdźmy na przechadzkę w pole: Pogoda jest śliczna, słońce świeci jasno i ogrzewa ziemię, ale nie dokucza nadmiernym upałem, bo jest już połowa października i promienie jego nawet w południe padają bardzo ukośnie, a przedmioty, które oświecają, rysują po przeciwnej stronie długie smugi cienia. Na polach pustki. Zboże już dawno sprzątnięto do stodół, a po gołych ścierniskach oprzędła się srebrna pajęczyna babiego lata. Tu i owdzie jednak krzątają się żywo liczne gromadki pracujących ludzi. Co oni robią? Wykopane kartofle zwożą na pole za stodołą, sypią w wązkie i długie wały, zakrywają słomą, a na to ziemią i tworzą dobrze nam znane kopce kartofli.

Dla czego to robią? Ażeby przechować je przez zimę i uchronić od zmarznięcia. Pokład słomy tworzy dla nich niby ciepłą pierzynę oddzielającą je od zewnętrznych podmuchów mroźnego wiatru. Jest jeszcze ciepło, a jednak ludzie już myślą o śniegu i mrozie, wśród przecudnej jesiennej pogody przewidują słoty zimowe i zabezpieczają się przed niemi. Zwożą warzywo do piwnic i dołów. Przygotowują drzewo i węgle na opał, robią zapasy owoców dla swych śpiżarni. Wiemy zresztą, że postępują tak nietylko ludzie. Różne zwierzątka zmuszone zimować w naszym kraju, a nie zapadające w sen zimowy mają także swoje śpiżarnie i śpichlerze i krzątają się żywo nad nagromadzeniem zapasów ziarna, by się od głodu uchronić. Tak postępuje naprzykład zaradny i gospodarny chomik, który zamieszkuje podziemną jamkę na rżysku.

Człowiek sięga myślą jeszcze dalej. Oto wśród szarych pól ciągną się tu i owdzie rozległe łany błyszczące świeżą, wiosenną zielenią. To ozimina; czy znacie ten wyraz i wiecie, skąd on pochodzi? Niektóre gatunki zboża np. żyto i pszenica potrzebują więcej czasu niż inne, aby wydać ziarno dostatecznie rozwinięte. Gdyby je posiano na wiosnę, nie dojrzałyby do lipca, kiedy przychodzi czas żniwa. Sieją je więc na jesieni; gdy przyjdzie zima, śnieg okryje zielone roślinki i zabezpieczy je od zmarznięcia, równocześnie jednak zimno powstrzymuje ich rozwój i wzrost. Gdy na wiosnę słońce coraz cieplej grzeje, śniegi stopnieją i spłyną do rzek i stawów, odkrywają się z pod nich już zielone pola zbożem okryte i szybko rosnąć zaczynają. W maju tworzą się kłosy, w czerwcu zawiązuje się w kłosach ziarno, w lipcu dojrzewa i wtedy ludzie sprzątają plony z zasiewów, które w jesieni poprzedniego roku poczynili. To zboże, które zimuje na polu pod śniegiem, nazywamy oziminą.

Człowiek przezorny latem pamięta o zimie i gromadzi zapasy, mające go od głodu i chłodu

uchronić; jesienią myśli o następnem lecie, ażeby sobie zabezpieczyć pomyślne żniwo.

Jaką mocą jednak człowiek może przewidywać przyszłość? Co mu każe wśród upałów letnich myśleć o śniegu i mrozie, o przyszłej wiośnie w porze jesiennej, gdy wszystko wkoło niego więdnie i zamiera?

Stały porządek istniejący w przyrodzie. Rolnik pracujący w polu widzi codziennie, jasny krąg słoneczny sunący po błękitnej półkuli rozciągniętej nad jego głową. Wie, że co rano o świcie w tej samej stronie ukazuje się, co wieczór o zmierzchu chowa się za przeciwny brzeg widnokręgu. Widzi jednak także, że w pierwszej połowie roku droga jego z każdym dniem jest cokolwiek dłuższa, a punkt do którego sięga w południe, cokolwiek wyżej nad ziemię wzniesiony, w drugiej zaś krąży z każdym dniem coraz niżej, coraz krócej bawi nad ziemią, w końcu zaś ukazuje się tylko na kilka godzin; dzień jest krótki — noc długa. Na długim dniu światło słoneczne jasno świeci i żarem oblewa, na krótkim promienie jego ledwie muskają zmarzłą ziemię. Słońce nigdy ze swej drogi nie zejdzie, nigdy jej stałego porządku nie zmieni, nigdy też nie ustanie kolejne następstwo pór roku: wiosny, lata, jesieni i zimy. Do tej stałej kolei stosują się prace i zabiegi rolnika, obyczaje człowieka i zwyczaje zwierząt. Jaskółka nie uściele gniazda na jesieni, ani słowik w grudniu nie zaśpiewa w śniegiem okrytym lesie. Słońce jest dla całego życia

na ziemi zegarem regulatorem, do którego wszystko się stosuje. Jest ono istotnie zegarem nad zegarami; pierwotną miarą czasu, według której wszystkie nasze podziały czasu ustanowiono: godziny, dnie, lata. Według biegu słońca nakręcamy zegarki, według biegu słońca dzielimy rok na cztery pory roku. Pół roku upływa od najkrótszego do najdłuższego dnia i pół roku od wiosennego zrównania dnia z nocą do jesiennego.

Trudno sobie poprostu wyobrazić, coby nastąpiło, gdyby w przyrodzie zapanował bezład. Życie byłoby zupełnie niemożliwem, gdyby słońce mogło mieć różne kaprysy, wschodzić raz wcześniej raz później, wznosić się raz wyżej raz niżej, niby dziecko grymaśne posłuszne tylko własnym zachciankom. Dziś upał, jutro mróz; na wpół rozwinięte kwiaty giną pod grubemi warstwami śniegu, a ledwie kiełkująca na polach ozimina schnie nagle na suchą słomę, zanim zdążyła wydać kłos i ziarno. Samo takie przypuszczenie wydaje nam się niedorzecznością, bo wiemy, że w takim zamęcie nie mogliby istnieć ani ludzie, ani zwierzęta. Tylko porządek panujący niewzruszenie w świecie przyrody, pozwala nam żyć i rozwijać się.

Taki sam porządek istnieje i w nas samych. Co wieczór, gdy ciemność okryje ziemię, głowę naszą ogarnia senność, powieki opadają, przestajemy myśleć i zapadamy w sen. Co rano blask dzienny budzi nas z nowemi siłami do pracy i zabawy. Możemy chwilę snu opóźnić, możemy wsta-

wać wcześniej lub później, ale im dłużej czuwamy, tem większa ogarnia nas senność i zmęczenie, a po dłuższej bezsenności, ciało nasze domaga się dłuższego wypoczynku. Pokarm, który przyjmujemy, zamienia się w krew, ta zaś krąży po całem ciele, zasila, odświeża częściowo lecz nieustannie wszystkie nasze członki. Ten ruch krwi w naszem ciele odbywa się także wedle pewnego porządku. W nas jest również zegar regulator, który rządzi naszem wewnętrznem życiem. Położywszy rękę na piersiach odczujecie ciche bicie jego: to serce. Tętni ono nieustannie, jak koło rozpędowe w młynie lub fabryce puszczające w ruch wszystkie inne kółka, walce i narzędzia wykonywanej pracy. Bo i w naszem wnętrzu dokonywa się różnego rodzaju praca. Uważajcie jak regularnie choć nieznacznie podnosi się i opada klatka piersiowa, oddycha i wciąga w płuca powietrze, odświeżające krew i podtrzymujące ciepło ciała. W żołądku człowieka jest niby rodzaj kuchni, gdzie pokarmy najprzód posiekane lub zmielone zębami mięszają się, rozgrzewają, rozpuszczają w sokach trawiennych, zamieniają w płyn wsiąkający w krew, a odrzucają się różne odpadki kuchenne dla fabrykacji zbyteczne lub już zużyte.

Wszystkie te prace organizmu ludzkiego muszą się odbywać wedle stałego porządku. Gdy się ten porządek zepsuje, — człowiek choruje; gdy się praca przerwie, umiera. Nieregularny oddech, nieregularne bicie serca, są objawem chorobliwego, a częste niebezpiecznego stanu.

Widzimy więc, że porządek panujący w przyrodzie — w tym świecie, który nas otacza i w tej jego cząstce, która jest naszą osobą, jest dla nas koniecznym warunkiem życia i zdrowia. Aby jednak z dobrodziejstw jego korzystać w całej pełni, człowiek musi do niego stosować swoje czynności; swoje życie i własne sprawy uporządkować. Wpośród ludzi istnieje tak samo jak we wnętrzu człowieka nieustanny ruch i nieustanna praca. Po drogach i szosach, po liniach kolei żelaznych, po ulicach wielkich miast, po rzekach i kanałach, snują się nieustannie, wozy i wózki, wagony, omnibusy, dorożki, łodzie, berlinki, statki parowe. Przenoszą one z miejsca na miejsce ludzi i rzeczy, żywność i towary rozmaite, listy, gazety, wiadomości i pieniądze. Każdy wyrób pracy ludzkiej z tego miejsca, gdzie powstał, przenosi się tam gdzie jest potrzebny: zboże, mleko, owoce, jaja, bydło i drób ze wsi do miasta, — sprzęty, narzędzia, meble, ubrania, tkaniny, książki, pisma i tysiące innych rzeczy z miast do wsi. Byliście nieraz na dworcu kolei żelaznej. W oznaczonych godzinach przyjeżdżają tam i odjeżdżają kolejowe pociągi. Kto chce niemi jeździć lub jakieś towary wysyłać, wie, kiedy się z domu wybrać, ażeby się nie spóźnić, albo też zbyt długo na przybycie pociągu nie czekać. Pociągi kolejowe rozchodzą się w różne strony, mijają się na stacyach lub wśród drogi, jedne idą szyb-

ciej, drugie wolniej, ale każdy z nich musi mieć czas i drogę wyznaczoną, aby jeden drugiemu nie zagradzał przejścia, aby się nie zderzały i nie rozbijały. Wszystko więc musi się odbywać we właściwym porządku, a służba kolejowa tego porządku pilnuje.

Pomyślmy, coby się stało, gdyby ruch pociągów dokonywał się bezładnie, zależnie od chwilowego kaprysu. Co dzień zdarzałyby się katastrofy kolejowe, skutkiem których ginęłoby mnóstwo ludzi. Na publiczność spokojnie przechadzającą się po torze kolejowym w porze, gdy żadnego pociągu nieoczekuje, znienacka nadjeżdżałby całą parą pędzący kurjer, który spodobało się służbie puścić na linię parę godzin za wcześnie lub za późno. Nic nie wiedząc o jego kapryśnej wycieczce wyprawionoby na tę samą linię ciężki pociąg towarowy o który rozstrzaskałyby się i parowóz i wagony napełnione publicznością. W okolicy przerżniętej przez kolej nikt nie byłby pewnym życia, gdy mu droga przez plant wypadnie, gdyż baryera w porę zamykana i otwierana nie ostrzegłaby—jak dziś — o nadchodzeniu pociągu. Na stacyach gromadziłyby się towary i pasażerowie daremnie czekając na nadejście pociągu, który może przybyć, a może się i wcale nie pojawić, gdyż wszystko opanował zamęt i nieład. Mieszkańcy miast wielkich nie mogliby się doczekać przesyłek żywności lub opału wyprawianych kolejami, głód dokuczałby im, zimą marzliby z braku węgla, a fabryki poru-

szane parą musiałyby nieraz przerywać pracę nie mogąc maszyn w ruch puścić. Tymczasem mieszkańcy wsi cierpieliby również biedę bo ładunki żywności wysyłane do miast leżałyby na stacyach i ulegałyby zepsuciu, a oni nie mogąc za nie wziąć pieniędzy, nie mieliby się czem przyodziac, z czego opłacić podatków lub zakupić narzędzi. Słowem ogólna nędza, zupełny brak bezpieczeństwa i spokoju, strata czasu, marnowanie się ludzkiej pracy byłyby nieuchronnym skutkiem panującego bezładu.

Porządek w zajęciach i czynnościach ludzkich daje nam spokój bezpieczeństwo i dobrobyt.

To samo co na szerokim świecie, powtarza się w każdym domu, w każdej rodzinie. Gdy na każde zajęcie wyznaczamy odpowiedni czas, na każdy przedmiot odpowiednie miejsce, ludzie oszczędzają sobie kłopotu, czasu i trudu, oszczędzają wydatków, unikają strat, zdobywają spokój i bezpieczeństwo.

Jeżeli w rodzinie każdy o innej porze wstaje, jada, kładzie się spać, i to dziś tak, a jutro inaczej, jeżeli raz tu, raz tu chowa lub porzuca swoje rzeczy, to połowa życia upływa wszystkim na szukaniu i czekaniu. Liczysz na to, że po obiedzie wybierzesz się na przechadzkę, przygotujesz lekcye albo wykończysz rozpoczętą dawniej robotę. Tymczasem obiad się opóźnia i wstrzymujesz wszystkie zajęcia i zabawy. Ten jeszcze nie przyszedł, temu sprzykrzyło się już czekać i poszedł. Chcesz pisać, zginęło pióro, chcesz czytać, niema książki, chcesz się ubrać, nie wiadomo, gdzie twoje rzeczy. Jeden

but jest, drugiego niema. Pewno leży gdzieś w kącie, ale trudno się domyślić, w którym, bo wszędzie stosy gratów rozmaitych przerzucić trzeba, zanim się przekonasz, co jest na spodzie. Ani się uczyć ani pracować w tych warunkach nie można. Nie ma się gdzie ruszyć, nie ma na czem usiąść, nie ma się gdzie położyć, ciasnota dokucza nawet w obszernem mieszkaniu, gdzie nic nie jest na swojem miejscu, lecz to, co ma wisieć na ścianie, leży na krześle, co ma stać na stole, wala się pod stołem, co ma właściwe miejsce w śpiżarni lub na kominie kuchennym, porozstawiano po oknach. Ludzie jedni drugim przeszkadzają i w drogę wchodzą i nikt nie ma dla siebie spokojnego i swobodnego kąta. Mnóstwo rzeczy niszczy się i ginie. Z nieładu wkradą się niezgoda i podejrzliwość. „Kto mi wziął nożyczki?“ „Kto schował moją czapkę?“ „Kto zgubił klucze?“ podobne pytania rozlegają się nieustannie, a tymczasem nikt właściwie nikomu nie zabiera, lecz wszystkich okrada ogólny nieład. Ludzie jedni drugich krępują; są wzajemnie niewolnikami różnych kaprysów i zachcianek. Ponieważ komuś niepodobało się obiadu na czas przygotować, wszyscy muszą o głodzie czekać lub opóźniać swoje zajęcia; ponieważ każdemu podoba się o innej porze na obiad przyjść, ten kto go przygotował, musi dla każdego z osobna przygrzewać, przechowywać i kończyć swoje kucharskie zajęcia o kilka godzin później niż trzeba. Tylko porzą-

dek w zajęciach daje spokój, swobodę, niezależność, zapewnia dobrobyt i pomyślny plon pracy.

Porządek jest nietylko dobrą ale i piękną rzeczą. Wejdźmy do mieszkania porządnych ludzi. Jak tam jasno, obszernie, czysto, jak wesoło wyglądają skromne pokoiki oświetlone promieniami słońca padającemi przez czyste szyby okien! Starannie utrzymane kwiaty mile bawią oczy. wszystkie sprzęty ustawione ładnie i składnie składają się razem na zgodną i powabną całość. Miło jest przebywać w takiem mieszkaniu, wesoło i spokojnie płyną myśli w otoczeniu, w którem wzrok z lubością zatrzymać się może na każdym przedmiocie.

A teraz idźmy do ludzi nieporządnych. Nie; lepiej tam nie zaglądajmy. Gdzie panuje nieład tam jest *nieładnie*. Wyrazy „ładny“ i „nieładny“ właśnie od ładu i nieładu pochodzą.

A teraz proszę, naradźcie się wszyscy nad tem, jak mamy wspólnie przepędzić niedzielne popołudnie!

Gwar i krzyk; niczego nie rozumiem i wy się wzajemnie nie rozumiecie, bo wszyscy mówią razem. „Tak!“ „Nie!“ krzyżują się głosy, a nikt nie wie, kto mówi *tak*, a kto *nie*.

Trzeba w tej naradzie zaprowadzić porządek, bo inaczej nie dojdziemy do ładu. Jedno musi kierować obradami i wyznaczać kolej głosów. Kto chce podać jaki projekt, niech się zgłosi, zapiszemy jedno nazwisko pod drugiem i wedle porządku mówić będziecie, a gdy jedno mówi, niech inni słu-

chają i milczą. Tym sposobem, każdy będzie mógł swoje zdanie podać do ogólnej wiadomości, usłyszeć i zrozumieć zdania kolegów i koleżanek.

Usłyszeliśmy trzy projekty. 1-szy. Wycieczka do lasu. 2-gi. Głośne czytanie. 3-ci. Gry ruchowe. Teraz znowu trzeba ustanowić pewien porządek: Najprzód będziemy mówili o pierwszym projekcie. Są zdania za i przeciw. Jedni przytaczają brak czasu, inni niepewną pogodę. Zwolennicy wycieczki mówią, że to jest największa i najzdrowsza przyjemność, a tylko w niedzielę czas na nią znaleźć można. Czy nikt już nic więcej nie ma do powiedzenia? Nie. W takim razie policzymy głosy. Kto chce wycieczki, niech rękę do góry podniesie. Szesnaście rąk się podniosło, dziesięcioro dzieci wolałoby co innego. Ponieważ jednak zwolenników jest więcej, pozostaniemy chyba przy tem postanowieniu. Jeszcze ktoś prosi o głos. „Proszę mówić". „Co będziemy robili, jeżeli pogody nie będzie?". „Słuszna uwaga"; możemy się i nad tem naradzić i projekty przegłosować.

Widzicie, jak szybko i zgodnie doszliśmy do porozumienia, gdy tylko w naszej rozmowie zaprowadziliśmy jakiś porządek. Gdybyście byli pozostali przy bezładnym gwarze, byłyby wszystkie projekty spełzły na niczem, a każdy byłby miał żal do drugich, że jego zdania nie usłuchali, podczas gdy po prostu nie usłyszeli. Porządek w ludzkich stosunkach jest warunkiem zgody i słuszności. Pomiędzy dziećmi często się tak dzieje, że zamiast

się wzajemnie przekonywać, próbują jedno drugie przekrzyczeć, zamiast trzymać się porządku, który każdemu zapewnia możność wytłomaczenia swoich zapatrywań i życzeń, każdy mówi swoje, każdy tylko sam siebie słucha i rozumie. Zdarza się to jednak nie tylko wśród dzieci. Zgiełk i zamęt panuje nieraz także w stosunkach ludzi dorosłych. I oni nieraz między sobą wiodą spory nie zmierzające do do tego, by jedni drugich zrozumieli i ich życzenia rozważyli, lecz by swych przeciwników zagłuszyć, pozbawić możności wypowiedzenia się, a tylko swoje własne żądania gwałtem przeprzeć i na swojem postawić bez względu na drugich. Wiele walk zawziętych, krzywd i nienawiści wynika właśnie z tego bezładnego i bezwzględnego ubiegania się za własnym interesem z pominięciem życzeń i potrzeb wszystkich innych. Skutki są więc zawsze równie opłakane, czy zakłóconym jest porządek w organizmie człowieka, czy w ludzkich czynnościach i pracach, czy w stosunkach między ludźmi. Ile razy spotkamy się z poniżeniem ludzi dobrych i szlachetnych, z nędzą ludzi pracowitych, z powodzeniem nieuczciwych i oszustów, z niewolą dzielnych i odważnych, z wyzyskiem i przeciążeniem słabych — zawsze mówimy sobie, że złe panują porządki, że należy uporządkować, nowy ład w nich zaprowadzić.

Porządek w przyrodzie popsuć się nie może. Porządek w stosunkach ludzkich zależy od woli ludzkiej. Przekonaliśmy się o tem przy naszej na-

radzie nad spędzeniem niedzieli. Przyznać jednak musimy, że na szczęście brały w niej udział same takie osoby, które mają dość dobry porządek w głowie, rozumieją o co chodzi i umieją swoje myśli jasno przedstawić. Są jednak ludzie, z którymi nigdy nie można dojść do ładu.

Ota naprzykład rozmowa dwóch sąsiadów: Pierwszy z nich narzeka:

„Oj! ludzie, ludzie! każdy tylko o siebie dba. Pracuję ciężko, mozolę się, troska mnie gniecie; a czy to kto o to się pyta? Czy kto dopomoże?"

„Powiedzcie, sąsiedzie, czego wam potrzeba? co wam dolega? może ja wam pomogę?"

„Dziękuję za waszą pomoc. Wiem, co ona warta. Za grosz przysługi, za sto złotych wymówek. Już ja się tam wolę nie oglądać na nikogo. Dotąd sam sobie radziłem, dam radę i dalej. Cudze ręce lekkie ale nie pożyteczne".

„Jak nie pożyteczne, to po co narzekać, że nie pomagają".

„Boć człowiekowi ciężko, źle samemu na świecie. Inni mają do sąsiadów szczęście większe. Czy to raz widziałem jak od was Maciej to to, to owo pożyczał?"

„Nie wymawiając, to i wam pożyczałem konia do miasta, kiedy wasz zachorował".

„Na moje nieszczęście tego konia brałem. Trzeba mi było w domu siedzieć. Nie byłbym stracił tyle czasu i pieniędzy.

„Czy to moja wina, że wam interes źle poszedł? Jeżeli pożyczyłem, to z dobrego serca".

„Ładne mi dobre serce, kiedy je teraz wymawiacie! Czy nie mówiłem, że to tak bywa z sąsiedzką pomocą? Za grosz przysługi, za sto złotych wymówek! Ja tam nikomu nie wymawiam co dla kogo zrobię".

„A co to takiego zrobiliście dla kogo. Dla mnie to dotąd nic".

„Aha! jeszcze byście chcieli, żebym na was pracował. Tak to, tak; nie tylko nic dla człowieka nie zrobią, jeszcze go każdy wyzyskać próbuje. Nic nie zrobiłem i nie zrobię. Niech każdy swego pilnuje".

„Dobrze: kiedy sami chcecie, będę swego pilnował, ale nie narzekajcie".

„Jak nie mam narzekać, kiedy się mozolę od świtu do zmierzchu, a nikt ani się obejrzy, ani nie dopomoże i t. d.

Daremnie chcielibyśmy zadowolnić człowieka, który sam nie wie, czego chce. Daremnie próbowalibyśmy go zrozumieć, kiedy on sam siebie nie rozumie.

Jeżeli pragniemy, aby w świecie ład panował, powinniśmy się wedle możności do tego przyczyniać, ale najprzód zaprowadzić porządek we własnych myślach, sądach, chęciach i zamiarach. Niech i u nas każda rzecz znajdzie się we właściwem miejscu i we właściwej porze. Najprzód praca, potem wypoczynek, najprzód obowiązek, potem

zabawa, najprzód to co wielkie, ważne, konieczne. potem dopiero drobnostki zbyteczne i bez znaczenia. Ściśle odróżniajmy złe od dobrego, prawdę od nieprawdy, wymagania słuszności od wymagań własnego samolubstwa i chciwości, a wtedy i my drugim i drudzy nam oszczędzą wielu cierpień i przykrości.

POGADANKA DZIESIĄTA.

Uczciwość i rzetelność.

Opowiem wam bajkę o kamiennym człowieku.

W bardzo odległym od nas kraju, Hiszpanii, znajduje się wielki ogród w miejscowości Daroka, a w nim kamienna figura przedstawiająca mężczyznę z koszem winogron w ubraniu robotników rolnych. Lud okoliczny o tej figurze opowiada ciekawą historyę.

Człowiek ten mial niegdyś mieszkać w okolicy jako zamożny właściciel winnic, Mateusz Blanco. On i jego siostra, z którą razem prowadził gospodarstwo, znani byli ze skąpstwa. Winnice ich rosły w ziemi żyznej na stoku wzgórza, ogrzewane południowem słońcem, rodziły piękne winogrona i dawaly dobre dochody. Im bardziej jednak wzrastała chciwość Mateusza i jego siostry, tem większemu zaniedbaniu ulegały ich winnice.

Robotnicy źle żywieni, skąpo opłacani i traktowani grubiańsko jeden po drugim opuszczali ich idąc pracować tam, gdzie ich lepiej ceniono i hojniej wynagradzano, a Mateusz razem z siostrą nie mógł podołać pracy. Krzewy winne nie strzyżone w porę rozrastały się w gałęzie i liście, grona ukryte w gęstwinie nie dojrzewały, były drobne i rzadkie, w końcu winnice ani dochodu nie dawały, ani też nie mogły znaleźć nabywcy, bo któżby chciał kupić tak zaniedbane i zdziczałe ogrody.

Nie pozostało Mateuszowi nic innego, jak najmować się do roboty u sąsiadów. Ale ta sama chciwość, która go doprowadziła do nędzy jako samodzielnego gospodarza, była jego klęską jako najemnika. Podczas winobrania, gdy inni robotnicy pracowali chętnie i sumiennie obcinając grona i znosząc je w pełnych koszach do skrzyni, w której z nich sok winny wyciskano, on, ukryty w gęstwinie krzewów zjadał co lepsze grona i zwolna, nie spiesząc się składał gorsze do koszyka. Przytem, że był szlachcicem i właścicielem winnic, poczytywał się za coś znacznie lepszego niż jego towarzysze pracy, wciąż żądal od nich usług i to tonem szorstkim i pyszalkowatym. Naturalnie nikt go nie lubil; jego lenistwo, łakomstwo i pycha, jego widoczna chęć wyzyskiwania pracodawcy, przez wykonywanie możliwie jaknajmniej pracy za równą innym zapłatę, wywoływały ogólną niechęć. Zwrócono uwagę właściciela na nieuczciwe postępowanie Mateusza, ten jednak nie dowierzając skar-

gom i plotkom postanowił sam się przekonać. W przebraniu prostego chłopa poszedł do winnicy i zbierał grona, a umieścił się umyślnie w pobliżu Mateusza, by go widzieć niepoznany przez niego. Istotnie też zobaczył, że Blanko zjada ile możności jaknajwięcej, a pracuje możliwie jaknajmniej. Gdy go po ukończeniu roboty wezwano do pana, a ten robił mu wymówki, Mateusz z oburzeniem najwyższym, jakgdyby się czuł zupełnie niewinnym wypierał się, że to fałsz, że tylko złośliwa intryga tych „chamów“ rzuca na niego takie podejrzenie, niegodne jego szlacheckiego pochodzenia.

Pozostawiono mu jeszcze czas do poprawy. Następnego dnia jednak znowuż zauważono to samo, i na trzeci dzień również Mateusz jadł, a nie pracował. To wreszcie wyczerpało cierpliwość właściciela, schwycił go na gorącym uczynku i zawołał:

„Łotrze, czy jeszcze będziesz śmiał się zapierać?“

„Panie, zawołał Mateusz nawykły do kłamstwa, niech cały skamienieję, jeśli jadłem pańskie winogrona!“.

W chwili, gdy te słowa wyrzekł, uczuł, że się dzieje z nim coś dziwnego. Nogi jego stały się martwe, ciężkie i jakby wrastały w ziemę. Przerażony krzyczał i wołał pomocy. Zbiegli się wszyscy towarzysze i próbowali go ratować. Rozcierali mu ciało octem, ale wszystko nic nie pomogło. Kamienna martwota ogarniała stopniowo wszystkie

jego członki, ubranie, kapelusz, nawet kosz z gronami winnemi skamieniał, i Mateusz pozostał tak w postaci martwego posągu jako groźna przestroga dla innych.

„To nie prawda, człowiek nie może skamienieć“.

„Zapewne; nie wymagam wcale, abyście wierzyli w tę bajeczkę, powtarzaną przez lud hiszpański. Świadczy ona jednak, jaką niechęcią lud ten otacza osoby podobne do Mateusza Blanko, a niestety — także i wpośród nas się one spotykają. Słysząc to podanie, myślę jeszcze co innego, mianowicie, że Blanko nie stał się kamieniem za karę, lecz był podobny do kamienia przez swój charakter. Jego skąpstwo i chciwość sprawiająca, że swych robotników głodził i wyzyskiwał, a oszukiwał pracodawcę, jego bezwstydne trzykrotne kłamstwo, kazało towarzyszom patrzeć na niego, jako na istotę bezduszną, oziębłą, twardą i zimną, której nic poruszyć nie może.

Nie chcielibyście zapewne mieć do czynienia z podobnym człowiekiem, ani jako z towarzyszem pracy, ani pracować u niego, ani jego pracy potrzebować. Przykro jest wchodzić w stosunki z ludźmi, którym nie możemy ufać, przykro gdy nam nie ufają.

Przeciwnie rozkosz nam sprawia spotkać takich, na których zawsze liczyć i którym zawsze wierzyć można. Człowiek rzetelny i uczciwy nietylko zasługuje na szacunek i przyjaźń, ale je też

zawsze zdobywa. O ludziach takich mówią, że chodzą zawsze prostą drogą, to jest nigdy nie szukają wykrętów, nigdy nie uciekają się do upokarzających podstępów, nigdy ich też nie potrzebują, bo wszystkie ich czyny są uczciwe i nie ma powodu ich ukrywać.

Kto z was zna i może opowiedzieć bajeczkę o chłopie i Merkurym?

Jest to opowiadanie bardzo dawne, bo Merkurym nazywali dawni Grecy, poganie, jednego ze swych bożków, który miał specyalnie opiekować się handlem i kupcami.

Pewien chłop rąbał drzewo nad brzegiem rzeki. Wśród pracy siekiera, którą się z wielkim odmachem zamierzył, spadła z toporzyska i utonęła w rzece. Chłop w płacz; dla biedaka to narzędzie pracy stanowiło cały majątek. Nagle zjawia się przed nim ów bożek, pyta o powód zmartwienia, wreszcie zanurza się w wodę i wydobywa złotą siekierę:

„Czy to ta?“ — pyta chłopa.

„Nie, nie ta; moja była całkiem prosta“.

Merkury na nowo sięga do rzeki i wydobywa srebrną siekierę.

Chłop smętnie głową potrząsa: „I ta nie moja“.

Nareszcie wydobył bożek prostą żeelazną siekierę i dopiero wtedy chłop uradowany pochwycił ją i podziękował bożkowi za pomoc. Merkury nagrodził rzetelność drwala i darował mu obie poprzednie siekiery.

Jeden z towarzyszy naszego uczciwego chłopka zachwycony jego przykładem, poszedł nad brzeg rzeki, rozmyślnie utopił siekierę w wodzie i uderzył w głośny płacz. I jemu pojawił się Merkury i — tak jak poprzednio — znowu najprzód złotą siekierę z rzeki wydobył.

„To moja! to moja!“ — zawołał chciwy człowiek i próbował pochwycić kosztowne narzędzie, ale bożek przeniknął jego fałsz i nietylko nie dał mu złotej siekiery ale i jego własną na dnie rzeki pozostawił.

Oto znana bajka, której możecie nie wierzyć, ale jak w każdej bajce jest i tu jakaś prawdziwa myśl ukryta. Nasz chłopek był jednym z tych, co to chodzą prostemi drogami i właśnie przez swą prostotę, rzetelność, szczerość zyskał sobie przychylność tego, kto mu chciał przyjść w pomoc. Każdy chętniej oddaje przysługę człowiekowi, któremu musi ufać i wierzyć, niż temu, kto chce podstępnie coś od niego wyłudzić.

Nie zawsze uczciwość bywa nagrodzoną, a oszustwo ukaranem. W zwykłym świecie, gdzie nie żadne bożki, lecz człowiek człowiekowi pomocy udziela, zapewne uczciwy chłopek byłby musiał poprzestać na zwykłej żelaznej siekierze, nicby na razie nie zyskał ale miałby spokojne sumienie, że to, co ma, istotnie z prawa mu się należy, jest jego własne, uczciwie zdobyte, nie podstępem i nie oszukaństwem. Mógłby przynajmniej każdemu śmiało patrzeć w oczy, przed nikim się nie wstydzić

i nie ukrywać. Kto sam siebie szanuje, kto się nigdy poniżyć nie chce, ten w pierwszym rzędzie będzie się strzegł wszelkiej nieuczciwości.

Często, bardzo często spotykałam takich rzetelnych ludzi i zawsze budzili we mnie szacunek bez względu na to, czy byli wykształceni, zamożni, zajmowali wysokie stanowisko, czy też byli zupełnie ciemni, skromni, nieznani.

Zdarzyło się raz, że wieczorem po szosie pędziły jedna za drugą dwie furmanki. Przodem kareta kosztowna, elegancka, ale wewnątrz pusta, bo właśnie odwieziono w niej kogoś na dworzec kolejowy i woźnica wracał z powrotem do domu, w którym służył. Za nią toczył się szybko wózek chłopski, ale że jego woźnica się upił, więc zrobił sobie z tego zabawkę, żeby jaknajostrzej zacinać konie i dogonić lub prześcignąć karetę. Szalonym pędem puściły się z górki i zamiast minąć karetę uderzył w nią dyszlem tak mocno, że w jej tylnej ścianie wybił na wylot ogromną dziurę.

Właściciel karety, gdy spostrzegł, jaką mu wyrządzono szkodę, zmartwił się bardzo. Nie mógł winić własnego stangreta, bo ten oczywiście nie widział,, kto za nim i z jaką szybkością jedzie; musiał patrzeć przed siebie, a nie za siebie. Nie umiał też objaśnić, kto jechał za nim i kto był właścicielem wózka. Nazajutrz jednak sprawa się wyjaśniła. Zaraz z rana pojawili się dwaj chłopi, gospodarze z sąsiedniej wioski, a jeden z nich tak przemówił: „Wiem, że bez mej wiedzy i woli, a jednak

z mej przyczyny poniosłeś pan szkodę. Wózek do mnie należał i mój woźnica po pijanemu najechał na pańską karetę. Obowiązek nakazuje mi stratę wynagrodzić; każdy sąd musiałby na mnie nałożyć karę. Wolę sam sobie być sędzią i bez wezwania oddać, co się odemnie należy. Proszę niech pan oceni, ile mam zapłacić".

Właściciel karety ujęty rzetelnym, prostym postępkiem sąsiada, przyjął tylko maleńką opłatę, którą ofiarował na cel dobroczynny, pożegnał go serdecznem uściśnieniem ręki i od tej pory stał się jego szczerym przyjacielem.

Zdarzyło mi się też widzieć, jak ubogi rzemieślnik po ukończeniu roboty u bardzo zamożnego gospodarza, wziął od niego zapłatę, a powróciwszy do domu, przekonał się, że przez pomyłkę otrzymał o 5 rubli zawiele. Natychmiast powrócił i oddał niezarobioną pięciorublówkę — za co nie otrzymał nawet podziękowania, ale też wcale o nie nie dbał. Nie dlatego oddawał pieniądze, żeby pozyskać łaskę gospodarza, lecz że gardził nieuczciwym zyskiem; chciał poprzestawać na tem, co mu dawała jego własna praca.

Ten ubogi rzemieślnik wiejski napewno pragnąłby mieć o 5 rubli więcej; byłoby to dla niego stanowiło dużą ulgę, bo ciężko mu było zarobić na utrzymanie swoje i rodziny pracą zmudną i licho płatną. Nie chciał jednak obciążać sumienia źle nabytym groszem.

Polski poeta, Władysław Syrokomla, napisał ładną wierszowaną gawędę p. t. *Kradzione*, którą wam opowiem.

Pewien zaściankowy szlachcic, bardzo ubogi, mieszkał na krańcu wsi, a tuż obok jego zagrody ciągnęło się pastwisko sąsiada, na którem pasły się liczne stada; konie, owce i woły.

Właśnie zbliżały się zapusty. U zamożnego sąsiada przygotowywano mięsiwo na uczty, u biedaka zawsze, jak rok okrągły, skromna, przeważnie postna strawa na stole. Stary szlachcic spokojnie i wesoło znosił swe ubóstwo, ale syna jego zawiść dręczyła. Zaczął ojca namawiać do kradzieży. „Woły sąsiada tak blisko nas się pasą, nikt nie zobaczy i nie odgadnie, czyja to sprawa; nożem po gardle pociągnąć i już po wole. Bogaty sąsiad nie zubożeje, a my przynajmniej raz w roku, w tłusty czwartek zjemy smaczną pieczeń wołową“. Ojciec zrazu oburzył się, lecz po namyśle zezwolił, chciał bowiem dać synowi nauczkę. W sekrecie poszedł do sąsiada i za wołu zapłacił, spokojnie też patrzał, jak syn tego wołu kradł i zarzynał. Przez parę tygodni w domu biednego szlachetki było suto i dostatnio. Dzień w dzień smaczny obiad mięsny zjadano z apetytem. Ojciec z dobrym humorem siadał do stołu, syty i wesół od jedzenia wstawał, w końcu utył i nabrał zdrowej cery, ale syn mimo smacznych kąsków chudł i mizerniał. Co dzień dochodziły go wieści, że sąsiad szuka złodzieja i już jest na tropie, drżał więc nieustannie, że się okryje hańbą, gdy kradzież na jaw wyjdzie; nie sypiał i nawet apetyt tracił. W końcu, gdy już wołu zjedzono, ojciec powiedział mu prawdę: „Ja zapłaciłem wołu, to mi szło na zdrowie, ty kradnąc schudłeś na charta“ i dodał: „Pamiętaj przysłowie“: „Nigdy kradzione nie tuczy“.

Kradzieżą nazywamy zwykle tylko przywłaszczenie sobie cudzych pieniędzy lub rzeczy, jednakże powinniśmy zupełnie tak samo piętnować wszelki nieuczciwy zysk, każde bogacenie się cudzą krzywdą. Czyż złodziejem jest tylko ten, kto zapuszcza rękę do cudzej kieszeni, lub dobiera klucze do cudzej kłódki? Czy nie można gorzej jeszcze krzywdzić człowieka bez puszczania się na takie grube sposoby ograbienia go z jego mienia?

Są ludzie zupełnie nie posiadający pieniędzy, kosztowności, ziemi ani inwentarza, a i oni przecież padają ofiarą rabunku. Ten kto tylko z pracy rąk własnych żyje, złodzieja nie bardzo się boi, kłódki i łańcuchy nie na wiele mu się zdadzą, bo nie ma co na nie zamykać. Jedyny majątek jaki posiada, to jego zdrowie, siły i czas. Są tacy, którzy i z tej skromnej własności nieuczciwe ciągnąć usiłują zyski.

Jesteśmy w pracowni sztucznych kwiatów. Kilkanaście biednych dziewcząt i kobiet wykonywa tam bardzo drobiazgowe i kunsztowne roboty. Jedna maluje liście, inna je karbuje, inna znów obwija druciki kolorową bibułką, by naśladowały łodygi, ta układa drobniutkie kwiateczki niezabu-

dek, tamta do złudzenia odtwarza puszyste gałązki mchu, wreszcie najzdolniejsze z przygotowanego materyału zwijają bukiety, wiązanki, girlandy, które posłużą eleganckim paniom do ozdoby kapelusza lub sukni balowej. Pracownice ża swoją robotę pobierają niesłychanie liche wynagrodzeni; żadna całkowicie z pracy swej utrzymać się nie może, bo zysk ze sprzedaży zabiera właścicielka pracowni, a im daje po kilka rubli na miesiąc. Za mało, by z tego żyć, za wiele, aby umrzeć z głodu. Każda też marzy o tem, by kiedyś — jak zdobędzie wprawę we wszystkich rodzajach fabrykacyi i o ile będzie mogła kupić własne narzędzia,—rozpocząć na swoją rękę wyrób sztucznych kwiatów i mieć tyle, ile rzeczywiście jej robota warta. Nie łatwo jednak ziścić to skromne marzenie. Właścicielka chcąc mieć jaknajwięcej korzyści z ich pracy nie pozwala im przechodzić od jednej roboty do drugiej, lecz każe robić ciągle jedno i to samo. Ta co obwija druciki, z zazdrością patrzy na koleżanki, które malują lub wyginają liście; ona wciąż swoją monotonną robotą zajęta nawet nie może próbować, czy zdoła zgrabny kwiałek zwinąć. Co prawda zazdrościć nie ma komu, nawet najlepiej uzdolnione, te co najdłużej tu pracują, nie są od niej szczęśliwsze. Chciałyby wieczorami, po powrocie do domu dodatkową pracą zarabiać na własną pracownię, ale praca bardzo długo trwa, wieczór bardzo krótki, a nocna robota po całodziennem zmęczeniu wycieńcza je i wzrok im osłabia.

W południe, kiedy panny wyjdą dla zjedzenia obiadu, właścicielka ukradkiem posuwa wskazówki zegara, aby je przetrzymać przy robocie po umówionej godzinie i tym sposobem każda z nich pracuje dłużej niż się zobowiązała.

Czyż takie postępowanie nie jest także oszustwem i kradzieżą? Czy bez wiedzy i zezwolenia właściciela przywłaszczamy jego pieniądze, czy też bez wiedzy i zezwolenia pracującego przywłaszczamy sobie jego czas i pracę, wychodzi to przecież na jedno. Zyski naszej kwiaciarki są równie nieuczciwe jak zyski każdego innego oszusta.

Uczciwość, to nietylko poszanowanie własności, to także poszanowanie cudzych praw.

Każdy dba o dobrobyt, każdy woli mieć więcej niż mniej i to jest zupełne słuszne i usprawiedliwione. Cała różnica między ludźmi polega właśnie na tem, że gdy jedni miłują bogactwo nadewszystko, dla niego poświęcają spokój, ambicyę, dobre imię, czyste sumienie, znoszą upokorzenia własne i godzą się z krzywdą cudzą, inni w dobrobycie widzą tylko środek do osiągnięcia spokoju, dający możność czynienia dobrze, a chronienia się od pokus do złego i dlatego nawet im na myśl nie przychodzi, aby dla zysku można poświęcać to, co jest ostatecznym celem ich wszystkich zabiegów, to jest piękne i pożyteczne życie.

Do rzędu pierwszych należał ów Amerykanin, który w tych słowach wyraził synowi swą ostatnią wolę, gdy leżał na łożu śmierci: „Mój synu, zrób

majątek uczciwie — jeśli możesz, ale w każdym razie zrob majątek"; a także i drugi, który mawiał sam o sobie: „Nie stać mnie na to, abym utrzymywał sumienie".

Do drugich taki Maniusz Kuryusz, który nie chciał przyjąć darów od wrogów swej ojczyzny, taki rycerz Habdank, co się nie dał z właściwej drogi zwrócić widokiem skarbów cesarza niemieckiego i mnóstwo dzielnych, a czystych ludzi, których nadzieja zysku nie zachwiała w wiernej służbie obowiązku.

Różne są kręte ścieżki wiodące do zysku, ale droga uczciwa jest tylko jedna — tą drogą praca i prawda, tak jak między dwoma punktami wiele krzywych linii przeprowadzić można, ale prostą tylko jedną. Nie powiem wam, że człowiek uczciwy zawsze doczeka się nagrody, ani też, że oszustwem i kradzieżą nigdy do dobrobytu się nie dojdzie, bo nie chcę was w błąd wprowadzać. Ludzie rzetelni często zmuszeni są przez całe życie na bardzo skromnych dochodach poprzestawać, nie sądzę jednak, by przez to byli pożałowania godni.

Uczciwość daje im tyle szczęścia i tyle siły, taki wewnętrzny spokój, pawność siebie, taki szlachetny i dostojny charakter nadaje wszystkim ich postępkom, że każdy musi w nich mimo ich ubóstwa odczuć wyższy stopień człowieczeństwa. Pospolicie się mówi, że człowiek nieuczciwy nie może ludziom śmiało patrzeć w oczy. Nie jest to przesąd, ale trafne spostrzeżenie. Nie ufajcie tym, któ-

rych oczy unikają spotkania się z wzrokiem ludzi; często nieczyste sumienie zdradza się w ten sposób, Jeżeli u pojedyńczego człowieka dobrobyt nie wzrasta w miarę uczciwości, to śmiało można powiedzieć, że narody o tyle się dorabiają, o ile w nich kwitnie rzetelność. Wraz z ogólną uczciwością wzrasta zaufanie jednych do drugich, a stąd łatwość wydobycia się z biedy, skwapliwość w wzajemnej pomocy, ofiarność na potrzeby ogólne, skłonność do łączenia się dla wspólnej pracy i wspólnego zysku.

Gdzie wielu ludzi nieuczciwych, tam wielu innych musi tracić czas i pieniądze dla kontrolowania i pilnowania ich, a jeszcze i ten dozór nie daje żadnej pewności; oszust omyli czujność wszystkich.

Są kraje, w których spotykamy dziwne, nieznane u nas urządzenia. W mieście siadasz do tramwaju i nie widzisz wcale konduktora. Jest tylko puszka z napisem, objaśniającym, że każdy podróżny ma do niej za przejazd wrzucić tyle a tyle groszy. Widocznie nie ma tam takich, coby próbowali jeździć „na gapę". Każdy rozumie, że tramwaje stanowią ogólną wygodę, że utrzymanie ich kosztuje, a ten koszt ponosić muszą wszyscy, co z tych tramwajów korzystają. Są kraje, gdzie przy przejeździe przez granicę nikomu nie rewidują kuferków, lecz każdego pytają bardzo uprzejmie, czy nie ma czego do oclenia, to jest, czy nie wiezie czego takiego, od czegoby komora pobierała opła-

tę. Widocznie nie ma tam takich, coby szukali zysku w kontrabandzie, to jest w sprowadzaniu w sekrecie tanich towarów z zagranicy, a sprzedawaniu ich drogo na miejscu. Ludzie wstydziliby się tam takich sekretnych zarobków.

Są kraje, gdzie nie rząd nakłada podatki po sprawdzeniu, ile kto ma dochodu, lecz każdy mieszkaniec sam swój dochód podaje i do opłacania podatku się poczuwa. Jest to tam uważane za tak wielką hańbę skłamać liczbę swych dochochodów, jak u nas dobierać klucze do cudzej kasy. W tych krajach, gdyby ktoś urzędnikowi sprawującemu swój urząd chciał dla uzyskania jakiejś dogodności wsunąć w rękę mniejszą czy większą monetę, urzędnik zaczerwieniłby się z oburzenia, wyrzucił za drzwi jegomościa, który mu tak ubliżył, a wreszcie zaskarżyłby go do sądu o usiłowanie przekupstwa.

Tam jedni ufają drugim, publiczność urzędnikom, urzędnicy publiczności. Każdy grosz dochodzi do tego, komu się należy, obrócony jest na to, na co był przeznaczony. W krajach tych są doskonałe drogi i poczty, wspaniale urządzone i liczne szkoły, w których każde najbiedniejsze nawet dziecko otrzymuje naukę, szpitale dla wszystkich chorych, przytułki dla wszystkich kalek, emerytury dla wszystkich starych i niezdolnych do pracy, bezpłatne biblioteki, ogrody publiczne, tanie kasy pożyczkowe i banki ludowe, gdzie każdy może uzyskać pożyczkę na powolne spłaty, bo ludzie

wierzą, że pożycza ten, kto potrzebuje i kto ma szczery zamiar oddać.

Całe to bogactwo będące własnością wszystkich płynie z pieniędzy zarobionych przez ogólną uczciwość.

A jak jest u nas? — Dzwonię do cudzego mieszkania. Zanim mi ktoś otworzy, najprzód pyta: „A kto tam?“ „A z jakim interesem?“ Potem zaglądają przez okienko we drzwiach, jak wyglądam. W końcu słyszę brzęk łańcucha odczepianego, skrzypienia klucza we drzwiach, odsunięcie zatrzasku, wreszcie drzwi się otwierają i wchodzę do mieszkania. Póki nie sprawdzono, kto jestem, traktowano mnie jak złodzieja. W ogóle prócz osobistych znajomych, uważa się wszystkich za złodziei.

Jadę koleją. Ledwie ruszyliśmy, zjawia się konduktor, pyta o bilet i robi w tym bilecie dziurkę. Po pewnym czasie przychodzi kontroler jeszcze raz ogląda i dziurawi mój bilet. Przy wysiadaniu nie wypuszczają mnie z dworca, jeśli odemnie nie odbiorą biletu. Na co to wszystko? Żeby sprawdzić, czy kto nie próbuje darmo jechać koleją, albo też dwa razy tego samego biletu użyć. O ile nie ma dowodów mej uczciwości, podejrzewają mnie o chęć oszustwa.

Wychodzą robotnice zajęte na komorze plombowaniem towarów. Po skończonej pracy każda z nich spieszy się do domu, na obiad, może do maleńkich dzieci, które zostawiła bez opieki, by

zarobić na ich wyżywienie. Ale nie tak łatwo wyjść, jakby chciały. Zanim je wypuszczą, muszą je zrewidować, czy która z nich w kieszeni lub pod ubraniem nie skryła ukradzionego towaru. Jakże mi ich żal! Ile tam jest między niemi uczciwych kobiet, którym ubliża takie podejrzliwe upokarzające traktowanie! Cierpią one z winy tych drugich, którym ufać nie można, bo nadużyłyby zaufania. U nas traktuje się jak złodziei tych wszystkich, co nie dowiedli swej rzetelności, w tamtych krajach uważa się za uczciwych tych wszystkich, co nie zasłużyli na podejrzenia. Jak miło mieszkać w kraju, gdzie każdy mi wierzy i szanuje mnie, o ile sam się nie poniżę i nie shańbię!

Są jeszcze inne rodzaje nierzetelności bardzo niemądre, a częste u dzieci. Zamiast się dobrze nauczyć lekcyi albo powiedzieć nauczycielowi wprost: „nie umiem“, „nie zrozumiałem“, „nie miałem czasu się nauczyć“ lub „poleniłem się“, uczeń zapytany szczypie w łokieć siedzącego obok kolegę i szepce: „Podpowiadaj!“ Tamten podpowiada z książki, a nasz uczeń płynnie opowiada lekcyę, której zupełnie nie rozumie i którą za pięć minut zapomni. W zeszycie ma przepisywane od kolegów ćwiczenia i zadania, którychby sam zrobić nie umiał i przedstawia nauczycielowi jako swoją pracę. Nauczyciel go chwali, a on się cieszy i myśli, że wiele wygrał na swojem oszustwie. Tymczasem on oszukał tylko sam siebie. Zamiast korzystać z pobytu w szkole dla wyćwiczenia się w pracy, przyswojenia sobie wiadomosci, zamiast wyzyskać wiedzę i dobrą wolę nauczyciela dla wyjaśnienia sobie tego, czego sam zrozumieć nie może, on wysila się na to, aby pozostać jaknajgłupszym, a jaknajmędrszego udawać. Co o nim myśli nauczyciel, to w gruncie nic mu z tego nie przyjdzie. Cała korzyść ze szkoły w tem leży, co w głowie ucznia pozostanie. A oto w tej głowie nie pozostanie nic innego prócz różnych pomysłów szachrajskich i różnych wybiegów służących dla wprowadzania w błąd ludzi.

W szkole tak samo jak w kraju, nieuczciwość jednych szkodzi wszystkim. Nauczyciel zamiast cały czas i całą pracę poświęcać na wyjaśnianie rzeczy niezrozumiałych, na wzbogacanie głów swych uczniów ciekawemi i pożytecznemi wiadomościami, musi ciągle być zajęty sprawdzaniem i pilnowaniem postępów uczni, silić swój dowcip na odkrywanie, które dzieci umieją na prawdę, a które tylko udają. Jakie to niesłuszne upokorzenie dla tych, co istotnie chcą się uczyć, a nie popisywać cudzym kradzionym rozumem!

POGADANKA JEDENASTA.

Miłość prawdy.

Przed kilkuset laty mieszkał w Krakowie człowiek bardzo szlachetny i miłosierny imieniem Jan z przezwiskiem Kanty, gdyż pochodził z wioski

Kęty pod Oświecimem. Był on księdzem. Prowadził życie bardzo surowe i wstrzemięźliwe. Jadał bardzo mało, sypiał na gołej ziemi, tylko w największe mrozy okrywał się skórą niedźwiedzia, a wszystko, co miał, rozdawał ubogim. Nieraz zdarzyło się, że gdy spotkał na ulicy obdartego i bosego biedaka, zdejmował płaszcz z ramion i okrywał go, albo też oddawał mu własne obuwie. Po śmierci uznano go za świętego.

Razu pewnego wezwano go do chorego człowieka w okolicę Krakowa, Św. Jan Kanty chodził zawsze pieszo; nawet w swej pielgrzymce do Ziemi Świętej nie posługiwał się końmi, lecz drogę lądową piechotą odbywał. To też i tym razem, choć droga była dość daleka i wiodła przez gęsty las, trudu nie pożałował. Wracał już o zmroku, a niósł ze sobą sporą sumkę pieniędzy, którą mu umierający wręczył na potrzeby kościoła. Po drodze napadli go zbójcy i pochwyciwszy za gardło zagrozili, że jeśli im zaraz wszystkich pieniędzy nie odda, zabiją go i zabiorą sami co ma.

„Śmierci się nie lękam, rzekł Św. Jan. Własnych pieniędzy też nie mam, bo ich nie potrzebuję. Żyję ubogo i bogactw nie łaknę. Niosę tylko pieniądze powierzone mi przez umierającego na potrzeby kościoła. Oddam je wam jednak, aby was uchronić od popełnienia ciężkiej zbrodni morderstwa“.

Zbójcy pochwycili skwapliwie sakiewkę, lecz nie znalazłszy tyle, ile się spodziewali, domagać się

poczęli, by im oddał resztę albo uroczyście przysiągł, że nic nie ukrywa.

„Przysięgasz, że nic więcej nie masz“?

„Przysięgam“ — odpowiedział.

Słysząc te słowa wypowiedziane tonem szczerości niewątpliwej, zaniechali dalszych poszukiwań i puścili go w dalszą drogę.

Kiedy był już blizko miasta, sięgając do kieszeni spostrzegł ku swemu wielkiemu przerażeniu, że pozostał tam jeszcze przypadkiem grosz, o którym był zapomniał.

Św. Jan nigdy ust kłamstwem nie splamił, a oto okazało się, że mimowoli nie tylko kłamstwo lecz krzywoprzysięztwo popełnił. Zawrócił więc czemprędzej z drogi i poszedł w las szukać owych zbójców.

Długo błądził wśród boru, zanim ich znalazł, gdyż ukrywali się w gęstwinie. Ujrzawszy go przerazili się; sądzili może, że wraca ze strażą, która ich chce schwycić i zabrane pieniądze odebrać.

Uspokoił ich obawy, a kiedy się przekonali, że idzie sam, ze zdumieniem spytali, czego od nich chce.

„Okłamałem was mimowoli, odpowiedział Św. Jan. Znalazłem jeszcze w kieszeni grosz, o którym zupełnie zapomniałem. Weźcie go“ i oddał im pieniądz.

Zbójcy wzruszeni do głębi tym przykładem nadzwyczajnej cnoty padli mu do nóg z uczuciem uwielbienia, oddali wszystkie zrabowane pieniądze

i prosili, by im pomógł wejść na nowo na uczciwą drogę.

Zapewne nigdy nie spotkaliście. równie prawdomównego człowieka i wydaje wam się dziwnem, że Św. Jan Kanty był tak drobiazgowo sumiennym względem tych, co czyhali na jego życie. Pamiętać jednak trzeba, że ci ludzie zaufali jego słowu, jego przysiędze i że ten tylko może z czystem sumieniem korzystać z zaufania ludzkiego, kto na nie zasługuje.

Gdybyście do kogoś zwracali się z prośbą o jakieś ważne dla was wyjaśnienie lub wiadomość i zapewnili, że na słowach jego całkowicie polegać będziecie i gdyby wam on wtedy na zaufanie odpowiedział kłamstwem, czy nie osądzilibyście; że jest nikczemnikiem i nie odczulibyście dla niego pogardy? Taką samą pogardę każde z was musiałoby odczuć dla samego siebie, gdyby oszukało lub okłamało tego, kto na jego słowie polegał.

Prawda, że to byli zbójcy, gdybyśmy się jednak poczuwali do obowiązku rzetelności tylko wobec ludzi dobrych, pozwolilibyśmy sobie na kłamstwo względem każdego nieznajomego nie wiedząc, czy na wysłuchanie prawdy zasługuje, a wtedy prawdomówność byłaby wyjątkiem, a fałsz ogólnym zwyczajem. Mówimy prawdę nie przez szacunek, dla tych co nasze słowa słyszą, lecz przez szacunek dla samego siebie; każde kłamstwo poniża nas we własnych oczach i odejmuje wartość naszym słowom i zobowiązaniom.

W historyi naszego kraju mamy właśnie jeden smutny przykład takiej nierzetelności popełnionej w przekonaniu, że wolno lekceważyć słowo dane tym, których nie szanujemy.

Młodziutki król Władysław syn Władysława Jagiełły toczył wojnę z Turkami zakończoną świetnem zwycięztwem i pokojem zawartym na lat dziesięć.

Turcy byli narodem pogańskim wówczas bardzo potężnym. Wszyscy się ich lękali, bo wiedzieli, że dążą oni do zawojowania i poddania w niewolę wszystkich sąsiednich krajów. Wypływało to nawet z ich religii—zwanej mahometańską — od nazwiska proroka Mahometa—który nakazywał im walczyć z „niewiernymi“ t j. z tymi, co inną niż oni wiarę wyznają, i za tę walkę obiecywał im raj po śmierci.

W owe czasy było, jak widzimy, to samo co do pewnego stopnia dzieje się i teraz, że ludzie różnej religii uważali się wzajemnie za wrogów i okazywali jedni drugim pogardę. Turcy nazywali „niewiernymi“ chrześcian, a ludy chrześciańskie ze swej strony uważali Turków za niewiernych, pogan, „pohańców“, jak mówiono w Polsce, i poczytywali sobie za zasługę zwalczać ich wszelką bronią, uczciwą czy nieuczciwą, i wtedy gdy zagrażali ich wolności i wtedy, gdy się spokojnie zachowywali.

Król Władysław był zarazem i królem węgierskim, a wojna, którą z nimi toczył, odbywała

się na granicy Węgier w obronie tego kraju. Pokój został zaprzysiężony przez obie strony; sułtan— czyli cesarz turecki przysiągł na księgę świętą swej religii, czyli na Koran, Władysław zaś na Ewangelię, że przez dziesięć lat walki nie ponowią. Jednakże nie upłynęły jeszcze cztery lata od tej chwili, a już namawiać go zaczęto, żeby na przysięgę złożoną „pohańcom“ nie zważał, bo ona niema znaczenia. Co prawda byli tacy, co odradzali mówiąc, że złamanie przysięgi jest zawsze ciężkim grzechem, który się może srodze pomścić. Wszystko to jednak na nic się nie zdało i ku wielkiemu oburzeniu Turków Władysław sprzeniewierzył się swej przysiędze.

Wojska polskie zapuściły się w głąb tureckiego kraju i przyszło do strasznej bitwy pod miastem Warną. Król z szaloną odwagą rzucił się w sam środek wojska nieprzyjacielskiego ale został zabity i głowę jego zatkniętą na pice zaniesiono sułtanowi tureckiemu. Swoją drogą jeszcze długo Polacy nie chcieli wierzyć w śmierć swego króla. Przypuszczali, że jest wzięty do niewoli i oczekiwali jego powrotu. Kiedy jednak przekonali się, że Władysław zginął rzeczywiście, uwierzyli, że jego nagła, przedwczesna śmierć była karą za złamanie przysięgi. Ja myślę, że gdyby nawet Władysław zwycięzko z tej wojny wrócił, czyn jego byłby w każdym razie okazał się zgubny. Niejeden odważny młodzieniec ginie młodo, niejeden przeniewierca uniknie nagłej i przedwczesnej śmierci,

ale nikt nigdy nie uniknie pogardy i nieufności, jaką na siebie sam ściąga przez fałsz, kłamstwo i krzywoprzysięztwo. Któżby chciał wchodzić w jakiekolwiek umowy i zobowiązania z człowiekiem, o którym się wie, że zobowiązanie łamie? A kiedy się tego dopuszcza król w imieniu narodu, to cały naród za niego cierpi.

Zupełnie inaczej pojmował szacunek dla słów własnych inny król polski, Zygmunt August. Kiedy jeszcze panował jego ojciec a on był tylko księciem, ożenił się z bardzo piękną i dobrą Barbarą Radziwiłłówną, którą kochał, szanował i której wierność do śmierci przy ślubie poprzysiągł. Wszystko to jednak było tajemnicą za życia jego ojca. Dopiero gdy po jego śmierci królem został, małżeństwo jego wyszło na jaw, a panowie polscy byli bardzo oburzeni, że król bez ich wiedzy i woli żonę sobie obrał i to ze zwykłego szlacheckiego stanu, a nie księżniczkę z domu królewskiego. Żądano od Zygmunta, żeby się z Barbarą rozwiódł, i ożenił z inną dostojniejszego urodzenia kobietą. Zygmunt jednak ani słuchać o tem nie chciał: „Czyżbyście mogli ufać, że wam wiary nie złamię, gdybym nie dochował wiary mej żonie“?

Różnie tam różni sądzili postępek królewski. My jednak musimy przyznać, że ten szlachetny człowiek, który tak szanował swe słowo, istotnie zasługiwał na ufność i szacunek swego narodu, więcej niż jego lekkomyślny poprzednik i niż jeden z jego następców przysięgający bez wahania to obrońcom

narodu, to jego zdrajcom. Złamanie przysięgi było wszędzie i zawsze uważane za wielki występek, karany przez sądy i przez ogólną pogardę.

Przysięgą jest powołanie się na to, co dla człowieka jest najświętszego na świadectwo, że się mówi prawdę. Kto rozumie, jak ważną rzeczą jest przysięga, ten nie powinien nigdy ani sam bezmyślnie przysięgać, ani nikogo do przysięgi zmuszać, bo przymusowe przysięgi na rzeczy, których dotrzymać nie jest w naszej mocy, za które nie odpowiadamy, lub które są wprost przeciwne naszej naturze, tylko przyzwyczajają ludzi do fałszu i do lekceważenia swoich najświętszych zobowiązań.

Kiedy Św. Jana Kantego napadli zbójcy i żądali przysięgi, że nie ma więcej pieniędzy niż te, które im oddał, to śmiało mógł albo przysiądz, bo wiedział, ile ma pieniędzy, albo im powiedzieć: „szukajcie i weźcie, ile znajdziecie“, albo pozwolić się zabić broniąc pieniędzy, co byłoby oczywistą niedorzecznością, bo życie zawsze jest więcej warte niż pieniądze, a zwłaszcza dla człowieka, który żył tak skromnie. Gdyby jednak zbójcy żądali od niego przysięgi, że przez całe życie będzie im wierny, nic nigdy o nich złego nie powie i nic nie zrobi na ich szkodę, napewno odmówiłby, choćby mu to śmiercią groziło, bo chcąc chwalić zbójców musiałby kłamać, a nie chcąc im szkodzić musiałby nieraz może szkodzić ludziom niewinnym, którzyby wpadli w ich moc.

Pod panowaniem Niemców, Prusaków; żyje

kilka milionów ziomków naszych, którzy doznają ciężkich prześladowań. Niemcy nie znoszą ich ojczystej mowy polskiej i na wszelkie sposoby przeszkadzają w używaniu jej.

Każdy świadek składający zeznania przed sądem, musi tam najprzód przysiądz, że będzie mówił szczerą prawdę. Potem mu zadają pytania, ale Polakom, z których niejeden wcale lub prawie wcale po niemiecku nie mówi, zadają pytania po niemiecku i każą w tym języku odpowiadać. Zdarzają się tam wskutek tego strasznie smutne wypadki.

Chłop polski stawiony przed niemieckim sądem po przysiędze prosi o tłomacza, któryby jego polskich odpowiedzi wysłuchał, bo on po niemiecku mówić nie umie. Sędzia sprawdzi, że chłop chodził do szkoły i czegoś tam piąte przez dziesiąte po niemiecku się nauczył, odmawia wezwania tłomacza i może jeszcze chłopa oskarżyć o krzywoprzysięztwo, że fałszywie zeznawał, bo język niemiecki zna.

Z konieczności łamie nieborak swój język i jak umie odpowiada, ale tak lichą niemczyzną mówi, że słowa jego zostają fałszywie rozumiane i fałszywie zapisane i znów spada na biednego chłopka kara ciężkiego i długoletniego więzienia za fałszywie zaprzysiężone świadectwo.

Odmówić złożenia przysięgi także mu niewolno, bo i za to czeka go kara. Czy ten chłop isotnie zawinił? Nie; cała wina spada na tych, co go

do przysięgi zmuszają, a nie dają mu możności wiernego dochowania jej.

Zdarzają się ludzie, którzy — nie zmuszani przez nikogo — co chwila na coś przysięgają lub zaklinają się bez namysłu i bez potrzeby, czasem nawet tam, gdzie chodzi o drobnostki.

„Czy nie znalazłeś mojej książki?“

„Nie; jak matkę kocham, nie“.

„To za drogo, panie“, mówi ktoś targując się w sklepie o towar.

„Jak Boga kocham, mnie samego on drożej kosztował“.

„Materyał słaby, przez zimę nie przetrwa“.

„Niech moje dzieci jutra nie dożyją, jeżeli nie starczy na dwie zimy“.

Co myślicie o takich ludziach? Czy bardzo ufacie ich słowom? Ja wcale nie. Człowiek, który ma ciągle na ustach: jak Boga kocham, jak matkę kocham, słowo honoru i t. p. widocznie wcale nie przywiązują wagi do tych słów, bo namyślałby się dłużej, zanim ich użyje. Ani on Boga, ani matki nie kocha, ani też z honoru swego nie wiele sobie robi.

Chrystus, kiedy nauczał lud i apostołów swoich mówił im: „Niech mowa wasza będzie prosta: tak — tak, nie, nie“ — i zakazał im przysięgać, czy to na niebo, czy na własna głowę, czy jakiekolwiek inne używać zaklęcia.

Człowiek prosty, szczery, rzetelny, nie myśli o tem, że można mu nie wierzyć i nie szuka in-

nych sposobów zdobycia ufności ludzkiej nad stałe mówienie prawdy, to jest zasługiwanie na wiarę i szacunek. Kto mu nie uwierzy, oszuka sam siebie.

Proste „tak“ lub „nie“ w ustach uczciwego człowieka znaczy więcej niż „jak Boga kocham“ lub „słowo honoru“, w ustach kłamcy i oszusta.

Czy wielu jest takich, którzyby zawsze prawdę mówili?

Nie, niestety, nie wielu. Każde z was, choć jeszcze nie długo żyje, już zapewne nieraz spotkało się z kłamstwem i nauczyło się nie zawsze ludziom wierzyć, a może nieraz samo kłamstwo popełniło.

Każdy zna tę bardzo pospolitą odpowiedź dzieci, gdy starsi dostrzegą jaką psotę albo szkodę i pytają: „kto to zrobił?“ „To nie ja, nie ja“.—mówią jedno przez drugie na wyścigi. W końcu wychodzi na to, że „samo się zrobiło“ — bo winowajcy wcale nie ma. Szklanka *się* stłukla, woda *się* rozlała, suknia *się* podarła, szyba *się* zbiła i t. p. Naturalnie starsi wcale nie wierzą, aby to wszystko miało stać się, bez niczyjego przewinienia. Niekiedy przypisują niesłusznie winę temu dziecku, które nic nie zbroiło, i mimowoli je krzywdzą. Gdyby każde śmiało przyznało się do tego, czem zawiniło, nie byłoby niesłusznych posądzeń i, co najważniejsze, nie byłoby fałszu, który jest znacznie gorszym niż przypadkowe zbicie szyby lub stłuczenie szklanki.

Dla czegóż dzieci w tych razach prawdy nie mówią? Boją się? Czego? Kary, nagany? Nagana słusznie się należy i kto zawini, musi być na nią przygotowany. Przecież same wyśmiałybyście tego, ktoby wam mówił, że niszczenie rzeczy, nieporządek i t. p., są to dobre na pochwałę zasługujące postępki. Przyznanie się szczere do winy zawsze łagodzi gniew i zmniejsza karę, a co najważniejsze, znosi najcięższą karę, to jest wstyd i wyrzuty sumienia. Człowiek, który ze strachu kłamie, zawsze czuje się poniżony i upokorzony swem tchórzostwem i kłamstwem. Czuje, że zasługuje na pogardę i sam sobą gardzi. Odwaga mówienia prawdy, jestto najpiękniejszy, najcenniejszy rodzaj odwagi.

Podczas gdy jedni ludzie kłamią bez zachłyśnięcia dla uniknięcia drobnej przykrości, rodzicielskiego połajania, złej cenzury, złego humoru przyjaciół lub gniewu i niechęci obcych — inni odważnie narażają się na niebezpieczeństwo, na prześladowania, męki i śmierć, a nie zaprą się tego, co za prawdę uznają.

Przed przeszło półtora tysiącem lat pierwsi chrześcianie ginęli w mękach, rozszarpywani przez dzikie zwierzęta lub paleni żywcem za to, że w cesarzu rzymskim nie chcieli uznać Boga i wyprzeć się wiary, którą za jedynie prawdziwą uznawali.

W kilkaset lat później tak samo męczeńską śmiercią ginęli ci, którzy się ośmielili głosić jako jedynie prawdziwą inną wiarę, niż tą, jaką kościół nauczał, albo nie chcieli odwołać prawd, które im

odkryła nauka, a które ludzie ciemni potępiali, bo się sprzeciwiały ich wierze.

Kiedy wspomnimy o tych wszystkich bohaterach i męczennikach, a przyjdą nam na myśl różne powszednie kłamstwa, jakiemi się ludzie dla swych głupiutkich i małodusznych obaw codziennie plamią, widzimy jak maleńcy, nizcy, nikczemni są ci wobec tamtych. Wszakże nie chcemy być nizcy i nikczemni? A zatem szanujmy prawdę i bądźmy odważni.

Pewien cesarz chiński imieniem Yu Wang chciał zabawić i rozweselić cesarzową. Było to w czasie dość smutnym, bo właśnie liczne zastępy Tatarów groziły chińskiemu cesarstwu i wszystkie wojska zostały zgromadzone i uzbrojone, by bronić kraju.

Yu Wang obiecał cesarzowej, że którejkolwiek nocy każe pozapalać ognie na wałach na znak, że nieprzyjaciel się zbliża i zobaczą oboje, jak się cały obóz poruszy na ten fałszywy alarm.

Tak też zrobił. Z okien pałacu przyglądali się oboje ze śmiechem, jak żołnierze nagle ze snu zbudzeni spieszyli po broń, jak przestrach opanował mieszkańców i jaki stąd zamęt powstał w mieście, w wojsku zaś rozlegały się głośne okrzyki na cześć cesarza i wezwania do walki zagrzewające męztwo i odwagę rycerzy.

Para cesarska mogła się śmiać i bawić, wiedziała bowiem, że popłoch był fałszywy, ale ci, co sądzili, że idą naprzeciw śmierci, byli wiele po-

ważniej usposobieni. To też gdy się przekonano, że nieprzyjaciela wcale nie było, żołnierze źli i rozjątrzeni powrócili do obozu z cicha sarkając na cesarza, który z ich odwagi i zapału uczynił sobie zabawkę.

Nie śmiał się jednak długo i cesarz. Wkrótce istotnie napadli Tatarzy i również obrali nocną porę do rozpoczęcia bitwy.

Pozapalano ognie na wałach, wzywano wojsko do broni, ale żołnierzom nie było spieszno po raz wtóry rozweselać cesarza, nie uwierzyli, że tym razem sygnały nie kłamały. Tatarzy skorzystali na tem; bez trudności zajęli miasto, zrabowali je i spalili, mnóstwo ludzi zabito, a cesarz i cesarzowa zginęli w płomieniach, które pałac ich w popiół obróciły.

Opowiadanie to przypomina bajkę o pastuchu' który żartem wołał ratunku przed wilkiem, co miał na jego trzodę napadać, a gdy wilki istotnie się pokazały, nie miał znikąd ratunku, bo już mu nikt nie wierzył.

Ludzie kłamią nieraz dla żartu, by się jedni kosztem drugich zabawić. „Prima Aprilis—nie wierz bo się omylisz“ wołają ze śmiechem pierwszego kwietnia, gdy jedno drugie zwiedzie, jak to jest we zwyczaju. Żarty pierwszego kwietnia nikogo w błąd nie wprowadzają na długo. Kto sobie przypomni, jaki jest dzień, ten się sam ze swej pomyłki śmieje i nie ma o nią urazy i tak dzieje się zawsze, jeśli się żartu nie posuwa zbyt daleko i nie przeciąga

bardzo długo. O ile jednak nasza zabawa naraża drugich na stratę czasu, na kosztowne omyłki, na upokarzające ośmieszenie, na przestrach, na chwilowe choćby zmartwienie, i w ogóle jeżeli rozweselamy tylko siebie, a nie tego, kto jest przedmiotem żartu, to nie można tej rozrywki pochwalać. Kto nam wskaże granicę, po za którą żartów nie wolno posuwać? Dobre serce. Niech wasza wesołość służy do rozweselania drugich, lecz niech ich nie rani.

Kruk siedział na drzewie i trzymał w dziobie kawał sera... (Jeżeli które z was umie ten wierszyk na pamięć niech go powtórzy). Lis miał ochotę ser sobie przywłaszczyć i zabrał się do tego z właściwą sobie chytrością.

„Jakże pięknym pan jesteś, panie kruku, jak żyję nie widziałem tak wspaniałego ptaka! Tak cudne pióra, co za barwa! co za połysk! A ile wdzięku w twej postaci i w ruchach! Niech się schowają koguty, pawie, bażanty, gołębie, łabędzie i orły! Jeżeli głos twój jest równie czarujący jak twoja osoba, to bezwarunkowo zasługujesz na to, by cię królem ptaków nazwano. Czy nie chciałbyś mnie uszczęśliwić i zaśpiewać pieśń, która byłaby godna twej doskonałości!!

Kruk zachwycony temi pochwałami uwierzył istotnie we wszystkie przyznawane mu przez lisa zalety, a chcąc się nasycić komplementami jego jeszcze więcej, otworzył dziób i krakać zaczął. W tej chwili ser wypadł mu z dzioba, lis go por-

wał i umknął ani myśląc oklaskiwać jego obrzydliwego krakania.

Czy lis wierzył w to co mówił o kruku? Bynajmniej. Chciał mu pochlebić, próżność jego podniecić, a sam na tem zyskać.

Czy między ludźmi nie spotyka się również pochlebców, którzy mówią przyjemne dla drugich kłamstwa, byle tylko wkraść się w zaufanie i wyzyskać, albo obłudą zjednać sobie niezasłużoną przychylność.

Do rodziców przychodzą goście i chcąc im zrobić przyjemność chwalą ich dzieci: „Jakaż śliczna dziewczynka! Zupełnie do mamusi podobna! Wspaniały chłopak! tyle życia, tyle energii. Zazdrościć wam można tych dzieci“.

„Śliczna dziewczynka“ sznuruje usta i stara się robić wdzięczne miny, co ją robi podobną do śmiesznej małpeczki. „Pełen życia“ chłopak hałasuje w niemożliwy sposób i goście radziby go za drzwi wyrzucić, żeby choć trochę mieć spokoju. Rodzice jednak są uszczęśliwieni, że się ich dzieci podobały, a one same tak dumne z pochwał, że chcą ciągle zwracać na siebie uwagę, co sprawia, że stają się nieznośne.

Gdyby im naprawdę goście dobrze życzyli, to by ich pochlebstwami nie psuli. Najczęściej pochlebcami bywają otaczani ludzie możni, od których wielu innych zależy. Jestto ich nieszczęściem, że się o sobie prawdy nie mogą dowiedzieć, ani z wad się swych poprawiać, bo nikt im się nie chce na-

rażać krytyką ich postępowania, co mogłoby ich na dobrą drogę naprowadzić.

Czy zawsze jesteśmy zobowiązani mówić ludziom przykre prawdy w oczy? Tak. — Nie. — Głosy są podzielone.

Spotykacie nieszczęśliwych rodziców, którzy mają garbatego syna. Czy dobrze zrobicie mówiąc im: „Jaki ten wasz syn szpetny! co za kalectwo okropne!“ Na co to? Czyż ci ludzie sami tego nie widzą i czy mogą coś na to zaradzić? Niepotrzebnie odżywiacie tylko ich ból, podczas gdy jedynem szczęściem dla nich mogłoby być zapominanie o nim i szukanie pociechy w zaletach dziecka, jego charakterze, zdolnościach i t. p.

Ktoś chce koledze zrobić przyjemność i ofiaruje w podarunku rzecz, która mu się wcale nie podoba i na nic się nie przyda. Czy dobrze zrobi obdarowany, gdy powie wprost: „Weź to sobie; na co mi to? co ja z tem brzydactwem zrobię“? Nie; podarunek może być brzydki, ale życzliwość, z którą został ofiarowany, jest cenna i miła; nie należy za nią odpłacać grubiaństwem. Nie potrzeba się wysilać na nieszczere pochwały ale należy ocenić dowód przyjaźni i pamięci. Kiedy więc należy mówić niemiłe prawdy? Wtedy gdy tego wymaga sprawiedliwość, dobro jednego człowieka lub wielu ludzi. Kiedy chodzi o zapobieganie złemu, o usunięcie krzywdy, o poprawę tego, kto źle czyni, o objaśnienie tego, kto jest na błędnej drodze.

Czy wolno mówić rzeczy miłe a fałszywe?

Czy pochlebstwo zawsze jest naganne? Zawsze; jeżeli nie możemy szczerze mówić ludziom tego, co im sprawia przyjemność, jeżeli przykra prawda na nic się nie przyda — to należy milczeć.

Do najpospospolitszych kłamstw należą tak zwane przechwałki. Ludzie lubiący wzbudzać podziw, a nie mający się naprawdę czem szczycić, zmyślają o sobie różne rzeczy, to przypisują sobie czyny nadzwyczajnej odwagi, których nigdy nie popełnili, to przywłaszczają sobie cudze zasługi, to rozprawiają o swych nadzwyczajnych talentach, o swych bogactwach lub wysokiem urodzeniu.

Jakie na was wrażenie robią tacy ludzie? Są śmieszni. Rzeczywiście. Niema chyba nic smieszniejszego nad takie strojenie się w cudze piórka— jak mówią. A wiecie, skąd wzięło się wyrażenie o cudzych piórkach? Z bajki o sroce, która przechadzając się po podwórku zbierała pawie pióra i zatykała je u swego ogona sądząc, że pawiom dorówna i wywoła podziw całego domowego ptactwa. Jednak nie wprowadziła w błąd nikogo; ptaki wyskubały jej pożyczany strój, i ukazała się im w swej naturalnej postaci wyśmiana i wzgardzona przez tych, co wykryli jej fałsz.

Takie sroki spotyka się też i między dziećmi. Pewna córeczka szewca, uczęszczała do szkółki, w której uczyło się dużo dzieci z zamożnych rodzin. Jakkolwiek jej rodzice byli ludźmi pracy i niewielkich środków, zajmowali tylko pokój z kuchnią w oficynie, jednak dla jedynaczki swej niczego

nie szczędzili, kupowali jej więcej sukienek i zabawek niż ich otrzymuje niejedno dziecko z wiele zamożniejszej rodziny. Dziecko rozsmakowało się w zbytku, na który ojciec jego ciężko pracował, i przywykło uważać właśnie to skromne stanowisko ojca i jego zawód za coś niższego, czego się wstydzić trzeba. Znalazłszy się wśród innych dzieci, nie pytana przez nikogo, dziewczynka zaczęła opowiadać, że ojciec jej jest właścicielem trzech kamienic, że rodzice zamieszkują piękne mieszkanie z sześciu pokoi, ale na to jej opowiadanie nie wiele zważano. Były tam dzieci istotnie bogatych ludzi, ktore jednak ani o majątku swych rodziców, ani o ich mieszkaniu wogóle nie mówiły, bo nie widziały w tem nic ciekawego ani zajmującego. Były też dzieci biedne, które zupełnie nie robiły sekretu ze swego ubóstwa, ale też nie zwracały niczyjej uwagi. Co to kogo obchodziło, w ilu pokojach kto mieszka?! Raz zdarzyło się jednak, że przybyła do szkółki nowa uczennica i zaraz bardzo serdecznie zaczęła się witać z naszą szewcówną: „Krzysiu! nie poznajesz mnie? przecież my się tak dawno znamy! Twój ojciec od kilku lat robi nam buciki, a ile razy przychodzę je przymierzać, bawimy się ze sobą“.

Krzysia zaczerwieniona i zła odwróciła głowę i mruknęła: „Czego odemnie chcesz? Ja cię nie znam. Daj mi pokój“. „Jak możesz tak mówić? Przecież widziałam cię niedalej niż przed tygodniem. Miałaś tę samą nawet sukienkę“, Dopiero teraz chłopcy i dziewczynki zainteresowali się 6-ciu

pokojami i trzema kamienicami Krzysi. Wydało się jej śmieszne kłamstwo i zraziło do niej nietylko dawną znajomą, która miała dla niej szczerą życzliwość i przyjaźń, ale i całe kółko rówieśników, z którenii się uczyła.

Nie zawsze jednak kłamstwa przez próżność popełniane tylko do śmieszności prowadzą. Kto da się opanować przez pychę i żądzę wyniesienia się na drodze fałszu, kto ponad wszystko umiłował te fałszywe blaski, w które się ubiera, ten niekiedy dochodzi do zbrodni, a im wyżej chce się wznieść przed oczami ludzkiemi, tem niżej pada.

Zdarzają się niekiedy wypadki, że dziecko, dla którego rodzice ubodzy wszystko poświęcili chcąc mu większą pomyślność i wyższe stanowisko zapewnić, potem wypiera ich się, nie chce ich znać, nie pozwoli się do siebie przyznawać i czarną niewdzięcznością odpłaca za poświęcenia, które mu torowały drogę do powodzenia.

Straszny przykład takiej zbrodniczej pychy przedstawia poeta Słowacki, w Balladynie. Piękna Balladyna córka ubogiej wdowy, wychodzi za mąż za hrabiego Kirkora, a marzy jeszcze o większem wyniesieniu się. Na zamku odbywa się uczta, na którą przybyło dużo znakomitych gości. Balladyna opowiada im o swej rodzinie i swej przeszłości. Mówi, że była królewną, po śmierci ojca: „Wuj nielitościwy

Wygnał mnie z państwa; zagrabił dzielnicę;
Przez niego bracia moi, królewice

Zamordowani". — i dalej:
„Ach! ja szczęśliwa, ja uniosłam życie,
Lecz matka moja! -- Matkę moją, panie,
Zamurowano w pałacu framudze".

W tej chwili właśnie daje się słyszeć za drzwiami głos matki, która błaga, by ją wpuszczono. Służba broni, lecz wdowa przedziera się do wnętrza komnaty i zwracając się do Balladyny mówi:

„Córko, ha! to się nie godzi
Zapomnieć o mnie".
A Balladyna: „Co się babie roi?
Co to za stara kobieta?"

Mimo zaklęć matki wypiera się do ostatka i wciąż powtarza:

„Ja ciebie nie znam".
„Ty matki nie znasz? matki twojej?"

Balladyna każe ją przemocą wyrzucić z zamku, choć noc ciemna i burza szaleje. Wdowa woła:

Powiem chmurze, niech bije w zamek gromem!
Nie targajcie, ja pójdę sama. — Świat teraz pustynią
Dla starej matki.

Po wyrządzeniu własnej matce tej strasznej krzywdy i zniewagi Balladyna brnie z jednej zbrodni w drugą, a równocześnie dochodzi do coraz wyższego stanowiska, zostaje królową. Jako panująca nad krajem sprawuje sądy. Między innemi zanosi przed nią niewidoma wdowa skargę na córkę,

że ją z domu wygnała, gdy się jednak dowiaduje, że niewdzięczną córkę kara śmierci czeka, nie chce wyjawić jej nazwiska, choć ją biorą na męki, wśród których umiera.

Jednak Balladyna nie uniknęła kary, gdyż piorun z nieba spada i zabija ją w oczach ludu.

Tak potworna kobieta jak Balladyna prawdopodobnie nigdy nie istniała, ale — niestety — istnieją wśród ludzi te wady, które ją do całego szeregu zbrodni doprowadziły: pycha, niewdzięczność, kłamstwo. Istnieją nieszczęśliwi rodzice, dla których świat jest pustynią, gdy o nich rodzone dzieci zapomną, a w sercach uczciwych ludzi zupełnie słuszna pogarda dla tych niegodnych dzieci, spadająca na nie jak druzgocący piorun.

Strzeżmy się wszystkich tak zwanych drobnych i niewinnych kłamstw, bo człowiek który raz zboczył z drogi prawdy, wikła się w kłamstwach jak w sieci. Nie chcąc zdradzić swych dawniejszych kłamstw, kłamie dalej. Najprzód kłamie, bo się boi kary, nagany, strat i przykrości, potem bo się lęka wstydu, gdy się jego fałsz wyda, potem z przywyknienia i z czasem staje się zupełnie przewrotny, godny pogardy ludzi i pogardy własnego sumienia.

POGADANKA DWUNASTA.

Miłość wiedzy. Poszukiwacze prawdy. Przesądy.

Było to przeszło czterysta lat temu. Po bezmiernym obszarze morskim płynęły ku zachodowi słońca trzy okręty żaglowe, a na nich kilkudziesięciu ludzi. W owych czasach nieznano jeszcze wcale okrętów parą poruszanych, a choć i wtedy ludzie dość dalekie odbywali morskie wyprawy, to podróże te były stokroć niebezpieczniejsze niż obecne, gdyż małe żaglowce nie mogly się tak skutecznie opierać burzy i bałwanom jak obecne olbrzymie statki parowe, a i morza, prądy morskie, skały nadbrzeżne i podwodne nie były tak znane jak w naszych czasach, kiedy już żeglarze posiadają dokładne mapy mórz i wybrzeży. Ponieważ bieg statku zależał od kierunku wiatru, więc i podróż zależnie od pogody niekiedy bardzo dlugo trwała, a cisza morska była równie niebezpieczną jak burza, bo mogła zatrzymywać statek na miejscu tak dlugo, że głód i pragnienie powolną śmiercią groziły podróżnym. To też do owej pory wszystkie dłuższe morskie wyprawy trzymały się w niezbyt wielkiej odległości od wybrzeży znanych lądów, największe morza — oceanami zwane, tylko od strony brzegów były znane, a jak daleko sięgały, co leżało po za niemi, nikt nie wiedział.

Dziś ten sam ocean Atlantycki, po którym płynęły owe trzy żaglowce, dobrze jest znany nawet wielu naszym rodakom, których tłumy corocznie przeprawiają się na jego drugi brzeg szukając chleba w Ameryce. Wówczas istnienia Ameryki nikt jeszcze się nie domyślał. Po cóż więc płynęli ci ludzie przez dalekie morza, na wątłych statkach w nieznane — nieprzeczuwane kraje?

Płynęli szukać prawdy.

Na ich statkach powiewały chorągwie hiszpańskie, ale wyprawą kierował Włoch, Krzysztof Kolumb. On też jeden z pośród tej garstki ludzi rozumiał cel podróży i jej znaczenie.

Najbogatszym wówczas ze znanych krajów na świecie były Indye Wschodnie, kraj leżący od nas daleko na południo-wschód, za Ziemią Świętą czyli Palestyną. Od wielu, wielu wieków z kraju tego sprowadzano najcenniejsze i najkosztowniejsze rzeczy: złoto, dyamenty, perły, rubiny, szafiry, jedwabne tkaniny, drzewa farbiarskie, kość słoniową, korzenie, cukier, a skarby Indyi budziły chciwość wszystkich narodów. Od kiedy Ziemię Świętą i inne kraje leżące na drodze do Indyi opanowali Turcy, wrogowie chrześciańskich narodów, i odcięli przystęp do tej bogatej krainy, ogólnem usiłowaniem — marzeniem wszystkich było odnaleźć taką drogę do Indyi, któraby pozwoliła minąć tureckie posiadłości, a taką mogła być tylko droga morska. Ten i ów puszczał się w tę podróż, ale płynąc, jak wtedy było możliwe, wzdłuż wybrzeży lądów

żeglowano długo — długo — a do Indyi zawsze było daleko.

Wtedy ów Krzysztof Kolumb, człowiek uczony i odważny, powziął myśl, która się jego współczesnym wydała nietylko śmiałą, lecz wprost niedorzeczną. Twierdził on, że—ponieważ ziemia jest kulą, można płynąc prosto na zachód opłynąć ją wkoło i dostać się do Indyi od strony przeciwnej.

O tem, że ziemia jest kulą wiedzieli najuczeńsi ludzie już oddawna ale tę ich naukę uważano za bezbożną, niezgodną z Pismem Świętem. zwalczano ją wszystkiemi sposobami, a że wśród ludzi jak zawsze tak i wtedy, więcej było głupich niż mądrych, więc sądzili, że takie przekonanie jest nietylko bezbożne ale bardzo niemądre. „Niepodobna“ — mówili, aby ziemia się nigdzie nie kończyła i aby płynąc prosto przed siebie nie dojechać do miejsca, gdzie się z niej spada w przepaść. Niepodobna też aby, jeżeli ziemia jest kulą, miały na niej żyć ludy, które chodzą do góry nogami, aby tam drzewa rosły korzeniem w górę, a koroną na dół—wszystkie te przypuszczenia wydały się poprostu śmieszne, a Kolumb, który na nich projekt swej podróży opierał, uchodził za waryata.

Wiele musiał przecierpieć, znieść szyderstw i prześladowań, zanim nareszcie trafił na kogoś, co mu dopomógł do urzeczywistnienia jego zamiarów, a przynajmniej do wykonania próby. Byli to król i królowa Hiszpanii; po długich prośbach, dowodzeniach i wyjaśnieniach zgodzili się dać Kolumbo-

wi do rozporządzenia owe trzy okręty i kilkudziesiu żeglarzy, ale postawili za warunek, że jakąkolwiek krainę w tej drodze spotka i odkryje, odda ją pod władzą króla hiszpańskiego. Uszczęśliwiony Kolumb wsiadł na okręt i płynął, z utęsknieniem marząc o chwili, gdy dopłynie do oczekiwanej krainy i da świadectwo prawdzie, którą przeczuwał, choć na nią nie miał dowodu.

Długo bardzo trwała ta podróż, a ludzie z załogi Kolumba już się niecierpliwić i szemrać zaczęli. Żywność i zapasy wody już się wyczerpywały, a tu jak okiem sięgnąć nic tylko fale słone oceanu, a nad głową sklepienie nieba. Raz ujrzeli na widnokręgu niby wielką smugę zieleni, traw, czy porostów, ale kiedy dopłynęli, i przekonali się, że to tylko rośliny morskie, nie ląd ani nawet wyspa, uznali w tem jakieś szatańskie mamidła i oskarżali Kolumba, że ich na zgubę wiedzie. Żal i gorycz zalewały serce Krzysztofa. Był sam przeciw wszystkim; nikogo ktoby w jego obronie stanął. On wierzył silnie, że słuszność jest po jego stronie, że prawda, którą głosił, musi się ujawnić i być przez wszystkich uznana i byłby chętnie o głodzie płynął dalej i dalej, a tymczasem może przed samem zwycięztwem będzie musiał zaniechać przedsięwzięcia, dla którego całe życie poświęcił. Już bunt żeglarzy wybuchnął jawnie; uchwalili zemścić się na Kolumbie za to że ich wywiódł na tę niebezpieczną wyprawę i zabić go. Byli to naturalnie ludzie ciemni i w swej ciemnocie niebezpieczni nawet dla

samych siebie. Czyżby zyskali większe bezpieczeństwo, gdyby zgładzili jedynego człowieka, który wiedział dokąd płynie i mógł pokierować po drożą? Ale złość i głupota nie rozumują, a rozpacz popychała tych ciemnych ludzi do złości. Kolumb wyprosił sobie jako łaskę tylko 24 godzin. Jeżeli w ciągu tego czasu nie ujrzą lądu, mieli go zabić i w morze wrzucić.

Całą noc spędził na pokładzie okrętu wpatrując się w zachodnią stronę nieba i szukając oczami ziemi, która miała mu przynieść ocalenie. I oto w chwili, gdy świtać zaczynało, dojrzał na samym skraju widnokręga rysujący się w błękitnej mgle porannej skrawek lądu. Trudno opisać jego zachwyt i radość. „Ziemia"! „Ziemia"! zawołał, a marynarze wybiegłszy na pokład gdy przekonali się, że tym razem to nie złudzenie, gdy ląd coraz bliżej, coraz wyraźniej się przed ich oczami rysował, zapomnieli wczorajszego buntu i podzielali jego uciechę.

Ziemia, do której dopłynęli była wyspą, a na pamiątkę swego cudownego ocalenia Kolumb nazwał ją San Salwador, czyli wyspa Zbawiciela. W pobliżu jej leżało innych wysp wiele, a dalej ląd rozległy, wszędzie zaś spotykano roślinność bujną, taką samą jaką posiadały Indye Wschodnie i dla tego przez czas jakiś jeszcze Kolumb i jego towarzysze byli przekonani, że istotnie do tego kraju przypłynęli. Była to jednak część dzisiejszej Ameryki, którą po dostrzeżeniu pomyłki Indyami za-

chodniemi nazwano. Bogactwo tej krainy okazało się nie mniejsze niż bogactwo Indyi Wschodnich, a obszar jej rozleglejszy. Długo jeszcze królowie hiszpańscy bogacili się i wzrastali w potęgę przez opanowywanie krajów przez Kolumba odkrytych, a wślad za Hiszpanami, żeglowały do tego nowego świata inne narody, zakładały tam swoje osady, czyli kolonie. Choć Kolumb sam do Indyi Wschodnich nie dotarł, jednak podróż jego przekonanie o kulistości ziemi potwierdziła, a zachęceni jego wyprawą liczni inni podróżnicy puścili się na dalekie morza i wkrótce po Kolumbie jeden z nich opłynął ziemię dookoła. Dziś już na tych pustych i nieznanych dawniej oceanach oblewających kulę ziemską, roi się od okrętów handlowych, pocztowych, wojennych, już odkryto na nich i zamieszkano setki wysp — już druty telegraficzne połączyły setki miast porozsypywanych po całej kuli ziemskiej i codziennie przenoszą różne wiadomości z jednej półkuli na drugą. Nikt nie ma wątpliwości, że ziemia jest kulą, że nie Kolumb był szaleńcem lecz szaleńcami ci, co w swej ciemnocie targnąć się chcieli na jego życie.

Jego odwaga i wytrwałość, zbogaciły świat o nowe skarby i nowe prawdy. A on sam co zyskał?

Najprzód radość z jego odkryć pobudzała do wdzięczności, ale wkrótce przemogła ludzka zazdrość. Oskarżono Kolumba przed królem, że wbrew umowie chce sobie samemu panowanie nad odkrytą

przez siebie ziemią przywłaszczyć, a król nieufny i zawistny, kazał go pochwycić, w kajdany okuć i do Hiszpanii sprowadzić. Kolumb wykazał swą niewinność, lecz nie mógł darować czarnej niewdzięczności, którą mu zapłacono za jego zasługi. Kajdany, któremi mu ręce i nogi okuto, chował na pamiątkę i umierając kazał je sobie włożyć do trumny.

A jednak musimy przyznać że spotkała go większa nagroda, wspanialsze zwycięztwo niż to, które przeczuwał. Jego śmiała wyprawa, która mogła się dla niego tak źle zakończyć, okryła go sławą na długie wieki i dziś nazwisko Kolumba wspominane bywa ze czcią przez wszystkie cywilizowane ludy.

Co było zasługą Kolumba? Odważne, niezmordowane poszukiwanie prawdy.

Czy możemy winić tych, co mu przeszkody stawiali? co go wyszydzali i o szaleństwo pomawiali?

Tak i nie. Nie, bo nie wiedzieli, że Kolumb ma słuszność, że znajduje się na drodze do wiekopomnych i dobroczynnych odkryć. „Niewiadomość grzechu nie czyni“ — mówi przysłowie.

A jednak, czy nie jest obowiązkiem człowieka z niewiadomości się leczyć i tak — jak Kolumb iść śmiało wbrew niebezpieczeństwom, przeszkodom, pogróżkom, wbrew złości i ciemnocie ludzkiej na poszukiwanie prawdy?

Gdyby nie było takich ludzi, jak Kolumb, gdyby wszyscy tak obojętnie przyjmowali prawdę naukową jak pewien pisarz, Bazyli z Cezarei, który oświadczył, że jest mu wszystko jedno, czy ziemia jest kręgiem, cylindrem, kulą czy lejkiem wydrążonym, to bylibysmy wszyscy do tej pory pogrążeni w ciemnocie, a nie rozumiejąc świata, który nas otacza, nie moglibyśmy i naszego życia do niego przystosować, naszej pracy udoskonalić, naszych czynów uszlachetniać.

Wiedzieć, czy nie wiedzieć nie jest bynajmniej wszystko jedno. Pomyłki są to nieświadome kłamstwa, a często nieświadomie wyrządzone krzywdy pokrewne tym, jakie wyrządzano Kolumbowi oskarżając go o szaleństwo, o trzymanie z djabłem, o zdradę. Nawet wtedy, gdy nie wiemy, na co się jakaś prawda przydać może, powinniśmy badać i przekonywać się, czy ona jest prawdą, a gdy się przekonamy, śmiało ją wyznawać, bo prawda zawsze do dobrego, fałsz zaś zawsze do złego prowadzi.

Może niema więcej zasłużonych ludzi niż ci, co się poszukiwaniu prawdy, nauce poświęcali. Nauka dała człowiekowi w rękę broń najsilniejszą dla zwalczania grożących mu niebezpieczeństw, dla zabezpieczenia swego życia i owoców swej pracy. Ci zaś co przez swoje naukowe badania bliźnim swym nowe drogi otwierali, zawsze musieli się ciężko borykać z głupotą ludzką, która im przeszkody stawiała.

Nikt dzisiaj zaprzeczyć nie może, że doktór

Jenner, który pierwszy wynalazł sposób szczepienia ospy, zasłużył sobie na wdzięczność ludzką. Zanim ten środek ochronny był znany, ospa była jedną z najstraszniejszych plag, jakie na ludzkość spadały.

Całe wsie, miasta, całe okolice wyludniały się, gdy ospa grasować zaczęła, a strach przed tą okropną zarazą doprowadzał ludzi do obłędu. Doktór Jenner, który był skromnym i nieznanym prowincyonalnym lekarzem, usłyszał od pewnej dziewczyny wiejskiej, że ona się ospy nie boi, bo na krowią ospę chorowała. To nasunęło mu myśl zbadania, czy istotnie krowia ospa chroni od naturalnej. Dwadzieścia lat swego życia poświęcił próbom i dociekaniom i gdy zupełnie już był pewny swego odkrycia, ogłosił je drukiem przytaczając dokładny opis 23 wypadków szczepienia, które zupełnie zarażeniu zapobiegło. Odkrycie jego przyjęto bardzo niechętnie. Wyszydzono go, wyśmiano, mówiono o nim, że przez szczepienie bydlęcej ospy chce ludzi w bydlęta zamienić, opowiadano nawet, że po zaszczepieniu krowianki wyrastały ludziom rogi na głowie. Z ambony przestrzegano przed szczepieniem jako przed djabelską sztuką.

Niemało prześladowań zniósł Jenner i ci, co mu zawierzyli i zaufali. W pewnej wsi gradem kamieni obsypywano osoby, które pozwoliły sobie ospę zaszczepić. A jednak w końcu prawda zwyciężyła; po długich latach walki doczekał się Jenner

uznania swych zasług, ale, równie skromny w dniach pomyślnych, jak cierpliwy i wytrwały był wśród przeciwności, odrzucał on ofiarowane sobie wysokie stanowiska i do śmierci pozostał skromnym prowincyonalnym lekarzem.

Wiemy, jak wielką potęgą jest dziś siła pary obrócona na użytek człowiek, służąca do poruszania jego maszyn, przenosząca z miejsca na miejsce ludzi i towary na kolejach żelaznych i statkach parowych. Nie każdy jednak wie, że pierwszy statek parowy puszczony na rzekę Ren został potrzaskany i porąbany przez ciemnych chłopów, którzy w nim widzieli jakąś machinę piekielną, szatański wynalazek. Dziś śmiejemy się, gdy czytamy o ludach dzikich, z jaką nieufnością przyjmują nasze wynalazki i jak upatrują czary tam, gdzie my widzimy, że jedyną czarodziejską potęgą jest rozum ludzki. I dziś jednak wpośród nas żyją ludzie ciemni, którzy nieufnem okiem patrzą na uczonych i odkryte przez nich prawdy, a zamiast zawierzyć nauce wolą się trzymać przesądów, do których przywykli, choć one ich nieszczęście stanowią.

Były czasy, gdy ludzie śledząc bieg gwiazd nie szukali w nich prawdy naukowej o budowie świata i ruchach ciał niebieskich, lecz wróżb o losach ludzi żyjących, bo sądzili, że na niebie takie wróżby wyczytać można. Były czasy, gdy ludzie przyczyny chorób nie szukali w złem pożywieniu, złej wodzie, nieczystem powietrzu, niezdrowym

sposobie życia, lecz w urokach, czarach, „złych oczach“ i różnych djabelskich sztukach, a zgodnie z tem dla uleczenia chorych uciekali się również do zażegnywań, zaklęć i czarów, a nie do sposobów przez naukę polecanych. Były czasy, kiedy pod wpływem takich przesądów, to jest sądów na ciemnocie opartych, jedni na drugich rzucali podejrzenia o trzymanie z dyabłem, o czarnoksięztwo — jak mówiono wówczas, a chcąc się przeciw mniemanym czarownikom i czarownicom zabezpieczyć palili ich żywcem na stosach, topili w bieżącej wodzie lub brali na męki tak straszne, że dziś — gdy się o tem słyszy, włosy stają nam na głowie.

To były straszne zbrodnie, nieprawdaż? Straszne zbrodnie w naszych oczach, bo my dziś wiemy, że czarów niema i że ludzie o nie podejrzywani byli niewinni. Ale ci co w owym czasie tępili czarowników i czarownice, wierzyli, że słuszność jest po ich stronie, że oni to właśnie mają zasługę usuwając szkodliwych ludzi, którzy na swych bliźnich klęski ściągają. Przesądy znikają pod pływem nauki, ona więc oswabadza nas wszystkich od klęsk, które z nich wypływają, znosi wszystkie krzywdy przez nie uświęcane, a tych krzywd i klęsk jest jeszcze i dziś wiele, bo i ciemnoty także bardzo wiele ciąży na ludzkich głowach.

Bolesław Prus opisuje w swej powiastce „Antek“ ogromnie smutny, a z prawdziwego zdarzenia wzięty przykład ciemnoty i przesądu. Było to

w pewnej wsi, której mieszkańcy byli tak ciemni, że gdy im rozkazano w każdej chałupie mieć w pogotowiu drabiny na wypadek pożaru, oni sądzili, że drabina sama ma przed pożarem zabezpieczać i byli bardzo zdumieni, kiedy ogień wybuchł w jednej chacie i całą spalił, choć na niej drabina wisiała, ale im na myśl nie przyszło zabrać się do gaszenia ognia.

Mieszkała tam wdowa, która miała troje dzieci. Jedno z nich, dziewczynka imieniem Rozalka, zachorowało na krosty. Wdowa zamiast do lekarza udała się do pewnej mądrej baby, która zaczęła od obkadzań i zażegnywań, a gdy te nie pomagały, dała taką radę: Trzeba mocno w piecu od chleba napalić, a potem popiół wygarnąć i dziewczynę w piec wsunąć, dobrze drzwiczki zamknąć, żeby powietrze nie dochodziło i póty potrzymać, aż z niej choroba wyjdzie. Matka chwyciła się tego nieszczęsnego sposobu, a choć się dziewczątko broniło przed żarem i wołało litości, nie słuchała tylko kuracyę przeprowadziła sądząc, że to dla dobra dziecka robi. Naturalnie z gorącego pieca wyjęła ku swej rozpaczy tylko trupa nieszczęsnej Rozalki. Mądra baba wyjaśniła, że sposób był dobry, tylko choroba wyszła zaprędko i dla tego dziecko nie wytrzymało lekarstwa.

Ileż razy ludzie ciemni unieszczęśliwiają tych których szczęścia z całej duszy pragną! Ileż razy działają na swą własną zgubę.

A ile to pomiędzy ludźmi niechęci, nienawiści i walk rodzi się z ciemnoty i przesądów!

Kto to wie i zrozumie, ten przyzna, że do obowiązków człowieka należy, nietylko rzetelność w postępkach, nietylko prawdomówność, ale sumienne, wytrwałe poszukiwanie prawdy, wyzwalanie się z wszelkiego świadomie czy nieświadomie popełnianego fałszu. Tylko na tej drodze uchronić się możemy, od nieświadomie złych postępków od marnowania dobrych chęci na czyny szkodliwe.

Spis rzeczy.